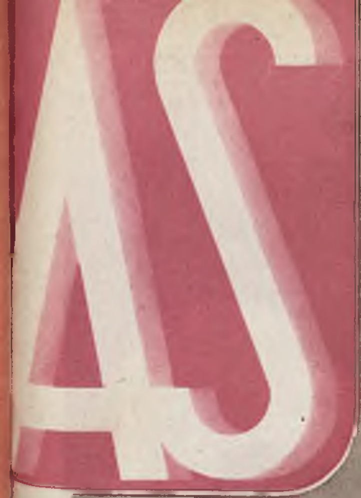


IGLARNOŚĆ
NIEDOWIERZANIE

Fot. Binder, Berlin

Nr. 25
21 CZERWCA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

KONKURS na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki



P. Myszka Kostecka — Lwów.
Fot. W. Dzieduszycki.



P. Marja Leszczyńska na „Mewie" — Lwów.

KUPON DO GŁOSOWANIA NA STRONIE 30-EJ.



W kole: P. Zofja Kannenbergowa Lwów.



P. Irena Waygartówna — Przemyśl.



P. Danuta Kadulska — Kraków.



P. Zofja Czarnota-Bojarska — Warszawa.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 25 **Niedziela 21 czerwca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 25-GO:

Fot. F. Nowicki — Kraków.

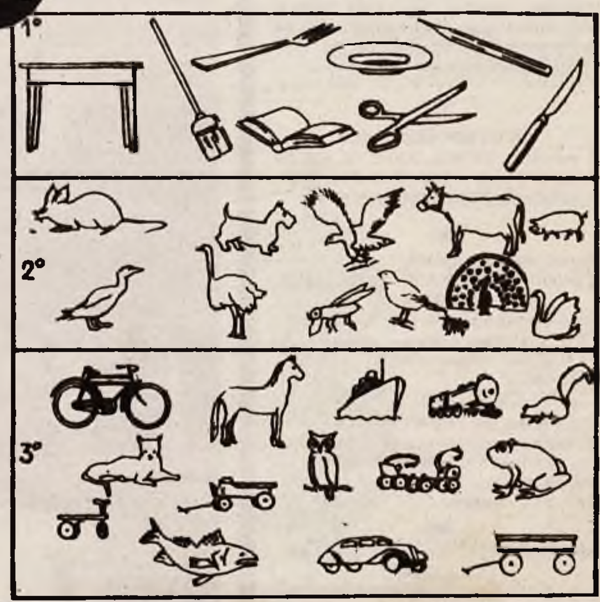
Kraków zachował z czasów przeszłości przywilej, iż z jego dziejami łączą się najpiękniejsze chwile naszej historji, jak również myśl twórcza, która spowodowała polityczne i duchowe zmartwychwstanie Polski. „Dni Krakowa", jedyna w swoim rodzaju impreza, ożywia te historyczne mury, uwypuklając nietylko ich piękno, ale również charakterystyczne cechy dawnej stolicy. Oczywiście, że Wawel, będący symbolem Krakowa, najsilniej skupia zainteresowanie zewsząd przybywających turystów. Oto jeden z jego najpiękniejszych fragmentów z „Kurzą stopką" na pierwszym planie. — W głębi Kopiec Kościuszki.

Czy dziecko pani jest równie inteligentne jak Shirley Temple

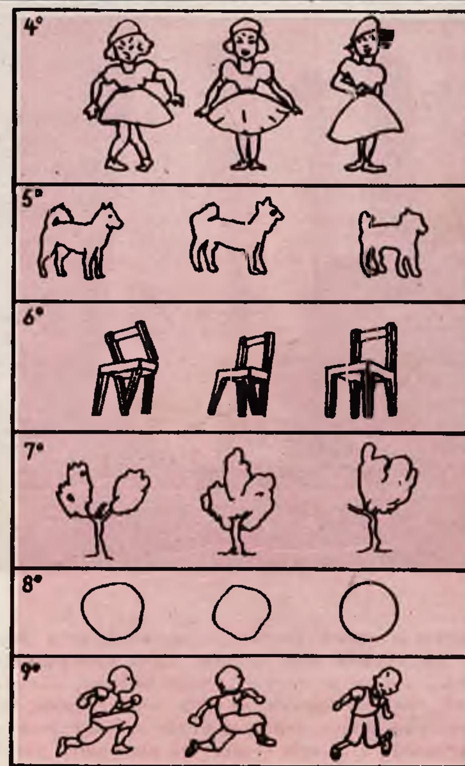


Po prawej: Figle trzymają się uroczej gwiazdeczki!

ZAD. Nr. 1



ZAD. Nr. 2



Istnieje cała serja tak zwanych testów czyli wyników pewnych prób, ustalonych naukowo, które pozwalają określić z wielką precyzją inteligencję człowieka poddanego tym próbom — po zsumowaniu ilości punktów, w kolejności ustalonej przez rygorystyczną metodę.

Nauka posługuje się w szczególności pewnego rodzaju testami, ażeby ustalić okresy mentalne dziecka i ażeby wypowiedzieć się z całą pewnością, czy rozwój inteligencji postępuje u dziecka normalnie, czy też jest spóźniony.

Powzięto myśl, ażeby poddać tego rodzaju próbom właśnie Shirley Temple, a poniżej podajemy autentyczne sprawozdanie z jej odpowiedzi i z punktacji, jakie uzyskała. Na tej podstawie skonstatowano, że najmniejsza wśród wielkich gwiazd obdarzona jest inteligencją dziewczynki w wieku 9 lat i 8 miesięcy, chociaż przekroczyła ona dopiero o kilka miesięcy 6 lat.

To doświadczenie budzi także innego rodzaju zaciekawienie, a mianowicie u rodziców, którzy zastanawiają się: „Czy moja córeczka jest tak inteligentna, jak Shirley", i mogą znaleźć bardzo łatwo odpowiedź naukową na to zapytanie.

Wystarczy bowiem zastosować do swego dziecka te same testy, jeżeli jest ono w wieku 5—8 lat i ustalić następnie iloczyn jego inteligencji zgodnie z wskazówkami, jakie w dalszym ciągu zawiera nasz artykuł.

Jest rzeczą mało ważną, czy dziecko uczęszcza, czy nie uczęszcza do szkoły. Testy bowiem nie mierzą wykształcenia, lecz tylko same funkcje mózgu i zasób inteligencji. Zbędną jest rzeczą, czy dziecko zna litery i cyfry. Nie potrzebna jest umiejętność pisania, ażeby poprawnie odpowiedzieć na owe zadania. Gdyby trzeba było znać to wszystko, Shirley Temple nie byłaby wstanie dojść do pięknego rezultatu w swych odpowiedziach, gdyż, jak wszystkie normalne dzieci 6-letnie, zaczyna ona dopiero uczyć się pisać, czytać i rachować.

Przyjrzyjmy się jakie zadania zostały przedstawione małej gwiazdce filmowej do rozwiązania.

Działo się to w małej willi Shirleyki, gdzie pobiera ona lekcje, udzielane jej przez kalifornijską nauczycielkę miss Liljan Bartley. Miss Bartley posiada dyplom ukończenia uniwersytetu w Kalifornji i ona to właśnie przeprowadzała doświadczenia z testami pod kontrolą doświadczonego w tej dziedzinie uczonego prof. Harolda J. Thomasa. Kilka osób z wytwórni Foxa, do której należy Shirley, asystowało przy tych próbach. Wszyscy musieli zachować absolutne milczenie, ażeby niczem nie rozpraszać uwagi dziecka. Shirley miała rozwiązać następujące zadania:

ZADANIE Nr. 1.

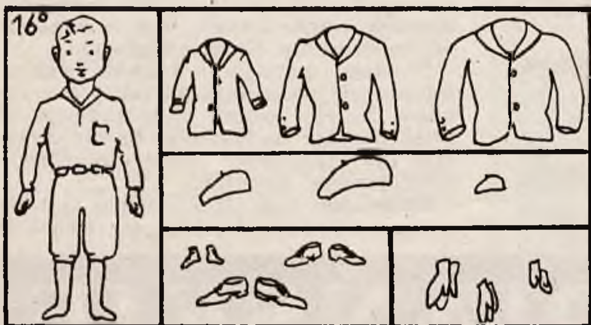
Przedstawiono Shirleyce serję bardzo prostych rysunków, przedstawiających przedmioty codziennego użytku, albo zwierzęta, środki lokomocji itd., a następnie miss Bartley powiedziała:

— Przyjrzyj się temu, Shirley! Chciałabym, żebyś

zaznaczyła kilka z tych przedmiotów, ale nie wszystkie. Zaznacz naprzód rzeczy, któremi posługujesz się gdy jesz przy stole. Widzisz tutaj stół? Zaznacz więc...

Nauczycielka zrobiła kreskę czerwonym ołówkiem na rysunku przedstawiającym stół. Shirley zrozumiała odrazu.

— Znajdziemy teraz inną rzecz, która służy ci przy stole. Czy posługujesz się przy nim miotłą? Nie, a więc nie zaznaczaj jej. Posługujesz się widelcem? Tak... zaznaczmy go. Widzę tutaj jeszcze dwie rzeczy, które ci służą przy stole. Znajdź je i zaznacz.



ZAD. Nr. 4

(Ażeby wyszukać notę Shirley, jak też jej iloczyn inteligencji i konieczne instrukcje dla wyszukania not i iloczynów inteligencji wszystko jedno jakiego dziecka, proszę poradzić się tabeli zamieszczonej na końcu tego artykułu).

Gdy Shirley poprawnie zakreśliła owe przedmioty, pokazano jej drugą serję rysunków: zwierzęta. Oczka jej rozjaśniły się radością, gdyż kocha ona zwierzęta i ta część zadania wprawiła ją w zachwyt.

— Przypatrz się dobrze tym zwierzątkom — powiedziała miss Bartley. — Jedne z nich posiadają pióra, inne ich nie mają. Zaznacz czerwonym ołówkiem, które z nich je mają, a które nie.

Shirley bardzo szybko postawiła czerwone znaki, a następnie rzekła ze złośliwym uśmiechem.

— Och, tyle jeszcze innych zwierząt ma pióra. Ludzie, którzy to rysowali nie zadali sobie zbyt wiele trudu.

Wszyscy się roześmiali, poczem pokazano jej trzecią serję rysunków, przedstawiających 14 rozmaitych rzeczy.

— Rysunki te przedstawiają różne rzeczy, z których jedne mają koła, a inne ich nie posiadają — rzekła miss Bartley. — Shirley! Trzeba zaznaczyć te, które mają koła.

W kilku sekundach Shirley wywiązała się z tego zadania. To zadanie trzeba wykonać w 30 sekundach — pamiętajcie o tem, jeżeli będziecie chcieli go zaaplikować swym pociechom. Gdy Shirley ukończyła tę próbę, roześmiała się i oświadczyła nauczycielce, że i w tym wypadku zna jeszcze bardzo wiele innych rzeczy, posiadających koła.

Na tem skończyła się pierwsza próba, nosząca nazwę: *„Test z codziennej obserwacji"*.

ZADANIE Nr. 2.

Jest to test „estetyczny". Przedstawiono Shirley 6 seryj rysunków, z których każda zawiera trzy rysunki: 3 lalki, 3 psy, 3 krzesła, 3 piłki i 3 chłopców biegnących. Na trzy rysunki jeden tylko jest normalny. Dwa pozostałe są dowolne zdeformowane. Zażądano od Shirley, ażeby zaznaczyła w każdej serji owych trzech rysunków najładniejszy. Przyznano jej 10 sekund na każdą serję, a Shirley zaznaczyła wszystkie sześć w 12 sekundach.

ZADANIE Nr. 3.

Nazywa się ono „testem asocjacji". Składa się także z 6 seryj rysunków.

— Oto — powiedziała miss Bartley — przedmioty, z których niektóre idą zawsze w parze ze sobą. Czy możesz mi odnaleźć je? Oto pierwszy rysunek: widzisz na nim nóż, widelec, trzewik i piłę. Zaznacz czerwonym ołówkiem nóż. Zaznacz teraz tę rzecz, która idzie w parze z nożem...

Shirley podkreśliła widelec i rzekła jakby zawstydzona do swej nauczycielki:

— To jest zbyt łatwe...

Tak samo rozwiązała pozostałe serje rysunków. Na każdą serję czas ograniczony jest do 15 sekund.

ZAD. Nr. 3





Powyżej: — Jak to rozwiązać? — zastanawia się zafrasowana Shirleyka.



ZADANIE Nr. 4.

Jest to test, który pozwala stwierdzić, czy dziecko zdaje sobie sprawę z rozmiarów danych przedmiotów.

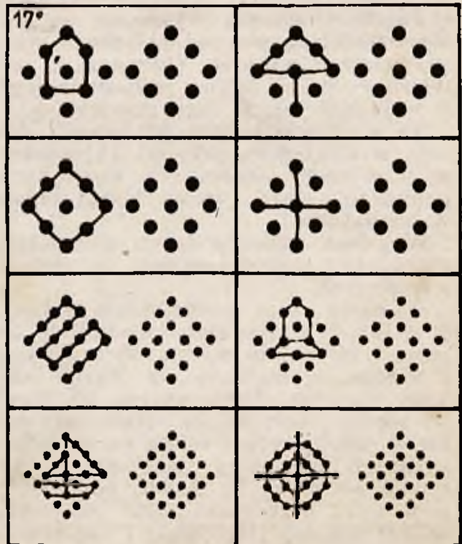
— Shirley — rzekła miss Bartley — oto rysunek chłopczyka, a tu obok trochę z odzieży dla niego.

Shirley zaintrygowana spojrzała na rysunki, przedstawiające bluzki, berety, trzewiki i rękawiczki, ale nic nie powiedziała.

— Widzisz to ubranie. Niektóre jego części są za duże dla chłopczyka, inne za małe, a inne są prawie dla niego. Musisz zaznaczyć te, które są dla niego odpowiednie miarą.

(Dokończenie na str. 7-mej).

ZAD. Nr. 5





Taniec z ciupagami. Fot. „As".

Wszystkie szczegóły ludowego obrzędu są folklorystycznie wierne. Najbogatsze cechy artystyczne posiada scena tańca zbójnickiego, skomponowana w fantastycznych strojach, wzorowanych na starych drzeworytach.

Imponującem jest przedstawienie jarmarku w Nowym Targu. Tłum lalek, złożony z 175 figur przedstawia górali z całego Podhala w charakterystycznych strojach, pozach i ruchach, w zgiełkliwej akcji, na tle straganów jarmarcznych, wypełnionych różnorodnym towarem.

Dzieło pomysłowych artystek powinno znaleść się w jednem z naszych muzeów regjonalnych, lub w krakowskiem Muzeum Etnograficznem.

Niestety panujące warunki ekonomiczne nie pozwalają na tak cenne zakupy. Należy jednak mieć nadzieję, iż będą podjęte usiłowania, by wykorzystać dla tych celów pracę utalentowanych wysoce artystek.

Twórczość pań Horwatowej i Chodackiej przyczynia się w wysokim

LALKI ZAKOPIAŃSKIE

Muzea etnograficzne w Pradze, w Zurychu, czy Monachjum posiadają bogate działy, w których życie ludowe przedstawione jest za pomocą artystycznie ułożonych scenerji z lalek. Do najpiękniejszych w tym zakresie okazów należą słynne szopki neapolitańskie i sycylijskie, pochodzące z XVII wieku. W szopkach włoskich, znajdujących się w monachijskiem muzeum narodowem, życie ludu przedstawione jest w sposób drobiazgowy a wysoce artystyczny, zapomocą figurynek wypalonych w terakocie, ubranych w stroje specjalnie tkane, umieszczone na tle odpowiedniej plastycznej dekoracji, architektury miejskiej lub kościelnej, wykonanej skrajnie naturalistycznie. Mistrzem w wykonywaniu tych figur był Materna, pochodzący z Palermo (XVIII w.).

U nas poraz pierwszy zastosowały podobny sposób, do przedstawienia życia, obyczajów i pracy ludu, dwie plastyki z Zakopanego, a mianowicie: Apolinara Horwatówna, artystka-malarka, uczenica prof. Mehoffera, oraz Józefa Chodacka, mistrzyni w zdobnictwie, hafciarstwie i wykonywaniu ubiorów lalek z Zakopanego. Artystki podjęły z własnej inicjatywy żmudną pracę i w ciągu 5 lat stworzyły minjaturowe sceny z życia ludu. Lalki, wykonane przez p. Apolinarę Horwat i Józefę Chodacką wykonane są ściśle i drobiazgowo na podstawie etnograficznych wzorów. Odtwarzają one wiernie życie ludu podhalańskiego, w najważniejszych jego przejawach.

Na wystawie zaimprowizowanej obecnie w Krakowie, przy ul. Piłsudskiego 6, w nader skromnych warunkach, pokazano nam świat podhalański w minjaturze.

Wystawa wzbudza łatwo zrozumiały entuzjazm wśród dzieci, a podziw u starszych.

Widzimy tam następujące obrazy: 1) redyk, 2) wypas owiec na hali, 3) dojenie i mierzenie mleka, 4) przybycie z wiosną do szałasów, 5) wyrób serków owczych. Przy użyciu 28 figur wysokości około 30 cm odtworzono ściśle w charakterze i ruchu na tle odpowiednich dekoracyj plastycznych, interesujące scenerje. Nader pouczający jest cykl, przedstawiający przeróbkę wełny owczej. Oglądamy czochranie i gręplowanie wełny, przędzenie tkanin ,folowanie sukna i scenkę u krawca. Sześć obrazów poświęconych jest obróbce lnu, a więc rafaniu, moczeniu, suszeniu, tłuczeniu, międleniu, czesaniu i przędzeniu. (16 figur).

Wszystkie narzędzia pracy odtworzono wiernie, jak również ściśle odtworzono charakterystyczne wnętrza góralskich kolib. Nawet szeregi obrazów świętych, zawieszone nad łóżkiem pościelonem, malowane na szkle, są kopjami, znajdujących się prawzorów w Muzeum Tatrzańskiem.

„Wesele góralskie" pokazano w dwu scenach, w których udział bierze 56 figur. Pierwsza scena przedstawia wyjazd do kościoła, druga „oczepiny".



Scena przedstawiająca wesele góralskie. Fot „As".



Wnętrze chaty na Podhalu — prząśniczki przy pracy. Fot. „As".

stopniu do podniesienia podhalańskiego przemysłu artystycznego, do którego wkrada się coraz szybciej i jawniej tandeta i obcość, zarówno motywów, jak i wykonania. Prace tych artystek wykonane solidnie, zgodnie z charakterem regjonalnym, znalazły już uznanie wśród publiczności, a lalki, pochodzące z tej wytwórni, należą do najartystyczniejszych w Zakopanem.

„Podhale w minjaturze" uzupełnione obrazami z życia ludu śląskiego, poleskiego, łowickiego powinno objechać całą Polskę, a nawet być użyte w zagranicznej propagandzie naszego kraju. Praca artystek zasługuje w zupełności na jaknajgoretsze poparcie.

M. D

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Znaczki z serji lotniczej, wydane przez królestwo węgierskie.

Szósty międzynarodowy kongres przedstawicieli gmin odbywa się właśnie w dniach od 7 do 16 bm. w Berlinie i w Monachjum. Naturalnie sposobność tę muszą wykorzystać Niemcy dla celów propagandowych i oto nowa serja znaczków gotowa. Tak jak zwykle przy serjach okazyjnych obejmuje ona 4 wartości za 3, 5, 12 i 25 fenigów w normalnych, kolorach przewidzianych przez konwencję pocztową. Pozwalamy sobie w tem miejscu zauważyć, że nasz normalny polski znaczek na list za 25 gr. (z widokiem Belwederu) wbrew tejże konwencji jest koloru zielonego i nie ulega żadnej wątpliwości, że trzeba go jaknajprędzej zmienić na karminowy. Przecież nie wymaga to żadnych kosztów, a dotychczasowy stan rzeczy narusza nietylko prawo, ale i tradycję Znaczki niemieckie projektowane przez prof. R. Kleina z Monachjum — przedstawiają personifikację gminy opiekującej się swojemi dziećmi-obywatelami.

Od dawna upominamy się o nową serję lotniczą: tymczasem zamiast w Polsce, na Węgrzech zastąpiono znaczki z 1932 nowemi, o wiele zresztą ładniejszemi. Nie stoją one wprawdzie na tym poziomie, co pierwsza serja „po-inflacyjna", ale widocznie nie stać Węgrów na staloryty przy niższych wartościach.



Nowy znaczek włoski, wydany dla zdobytego cesarstwa etjopskiego z podobizną nowego monarchy tego kraju.

Widać jednak, że heliograwura staje się coraz powszechniejszą — i znacznie łatwiej oddać nią podobne do fotomontażu rysunki, aniżeli jakąkolwiek inną techniką drukarską. — Serja składa się z 6 sztuk o 2 typach rysunków: pierwszy przedstawia dyliżans pocztowy i lecący nad nim trójmotorowiec, drugi — stylizowany samolot nad parlamentem węgierskim. Ornamenty kwiatowo-geometryczne dają poza tem tym znaczkom dosyć oryginalny wygląd. Wszystkie wartości za 10, 16, 25, 32, 40, 52 filler mają znaczki wodne „krzyże patrjarchów". (Ze zbioru p. dyr. T. Landaua).

ODPOWIEDZI REDAKCJI. WPan **Mat. Waw.** — Kraków: To nie jest znaczek pocztowy Kanady — tylko sądowy (= law stamp). Nie ma on żadnej wartości filatelistycznej.

(Dokończenie ze str. 5-tej).

Przyznano Shirley na każdą część rysunku, a części tych jest cztery, 15 sekund. Shirley nie potrzebowała nawet ani trzeciej części tego czasu, ażeby poprawnie zaznaczyć przedmioty. Potem rzekła:

— Miss Bartley, czy mogę coś powiedzieć?

— Oczywiście...

— Zdaje mi się, że chłopczyk ten nie zdaje sobie sprawy z tego, co jest modne. Trzebaby pójść do magazynu z ubraniem wytwórni filmowej, ażeby znaleźć takie przestarzałe ubrania.

I Shirley roześmiała się.

ZADANIE Nr. 5.

Jest to „test rysunkowy" z pomocą punktów.

— Trzeba porobić rysunki ściśle odpowiadające tym, jakie już są narysowane — rzekła miss Bartley. — Widzisz tutaj pierwszy: To mały, milutki domek. Trzeba narysować taki sam na punktach znajdujących się obok niego.

Trzeba było uczynić to samo z 6 innemi rysunkami, na które składa się ten test. Shirley pomyliła się raz i zdawało się, że się rozpłacze.

Na tem skończyły się próby, ale Shirley zażądała jeszcze innych, tak ją to bawiło. Spotkała się jednak z sprzeciwem miss Bartley i prof. Thomasa, którzy dodawali i porównywali swoje wyniki. Znaleźli oni, że punktacja Shirley osiągnęła cyfrę 32, wskazującą na mentalność przypisywaną 9 latom i 8 miesiącom i na iloczyn inteligencji w wysokości 155.

Prof. Thomas rzekł:

— Ależ to prawie genjalne!

Ale matka Shirley zaprotestowała.

— Genjalne? Nigdy w życiu! Nie chcę, by moją córeczkę nazywano genjuszem Wiem, że wcale taką nie jest Jest inteligentna — dzięki Bogu — ale nie odznacza się wcale jakąś nadzwyczajnością, zaco również Bogu dziękuję.

A oto poprawne odpowiedzi Shirley na zadania. Podajemy przy nich także błąd, jaki uczyniła, oraz instrukcje konieczne, ażeby ustalić testy, określające rozwój mentalności i iloczyn inteligencji dla dzieci pomiędzy 5—8 rokiem życia.

Zadanie nr. 1 (obserwacje codzienne): Rys. 1. Zaznaczyć widelec, nóż i talerz. Rys. 2. Zaznaczyć orła, kaczkę, strusia, wróbla, pawia i łabędzia. Rys. 3. Zaznaczyć rower, lokomotywę, wózek, rolki, trójkołowy rower, auto i wóz. Ażeby postawić notę trzeba zliczyć ilość dobrych odpowiedzi, podzielić przez liczbę odpowiedzi złych i podzielić resztę przez 2. Nota Shirley: Dobrych odpowiedzi 17, złych 0, 17:0=17, 17:2=8½.

Zadanie nr. 2 (różnice estetyczne): Rys. 4. Zaznaczyć drugą lalkę Rys. 5 Zaznaczyć pierwszego psa. Rys 6. Zaznaczyć trzecie krzesło .Rys. 7. Zaznaczyć drugie drzewo. Rys. 8. Zaznaczyć trzecią piłkę. Rys. 9. Zaznaczyć pierwszego chłopca. Dla uzyskania noty trzeba dodać dobre odpowiedzi. Nota Shirley: wszystkie odpowiedzi dobre, więc nota wyniosła 6.

Zadanie nr. 3 (asocjacje): Rys 10: nóż i widelec. Rys. 11: nitka i igła. Rys. 12: płaszcz i gniazdko. Rys. 13: piła i drążek (są to przybory do baseballu, bardzo popularnej gry w Ameryce). Rys. 14: dzbanek i szklanka Rys. 15: trzewik i stopa. Ażeby uzyskać notę trzeba dodać poprawne odpowiedzi. Nota Shirley przy wszystkich odpowiedziach poprawnych: 6.

Zadanie nr. 4 (określenie rozmiarów): Rys. 16: Zaznaczyć surducik środkowy, pierwszy beret, trzecią parę obuwia, środkową parę rękawiczek. Ażeby uzyskać notę dodać odpowiedzi poprawne. Nota Shirley: 4 przy wszystkich odpowiedziach poprawnych.

Zadanie nr. 5 (rysunki na punktach). Wszystkie rysunki powinny być identyczne z rysunkiem gotowym. Dla uzyskania noty trzeba policzyć rysunki poprawne. Shirley pomyliła się rysując okręcik. Inne rysunki wykonała dobrze. Nota: 7.

DEFINITYWNE NOTY ORAZ OZNACZENIE MENTALNOŚCI I ILOCZYNU INTELIGENCJI:

OGÓLNA NOTA	MENTALNOŚĆ	OGÓLNA NOTA	MENTALNOŚĆ
5	4 lata 9 mies.	19	7 lat 7 mies.
6	4 „ 11 „	20	7 „ 10 „
7	5 „ 1 „	21	8 „
8	5 „ 4 „	22	8 „ 3 „
9	5 „ 6 „	24	8 „ 6 „
10	5 „ 8 „	25	8 „ 9 „
11	5 „ 10 „	26	8 „ 11 „
12	6 „ 1 „	27	9 „ 2 „
13	6 „ 3 „	28	9 „ 4 „
14	6 „ 6 „	30	9 „ 5 „
15	6 „ 9 „	31	9 „ 7 „
16	6 „ 11 „	32	9 „ 8 „
17	7 „ 2 „	33	9 „ 10 „
18	7 „ 5 „		

Noty Shirley: Test 1 = 8½, test 2 = 6, test 3 = 6, test 4 = 4, test 5 = 7, razem 31½ zaokrąglone do 32. 32 = 9 lat i 8 mies.

Iloczyn inteligencji: wyrazić wiek dziecka w miesiącach. Wyrazić w miesiącach wiek mentalności oznaczony przez powyższą tabelę, podzielić następnie wiek mentalności przez wiek istotny, a rezultat da iloczyn inteligencji dziecka.

KWIAT LOTOSU



Na prawo: Stylizowana wiązanka kwiatów lotosu (na lewo) oraz liści papyrusu.

Greckie ornamenty opierały się na motywach kwiatu i liści lotosu.

Na spokojnych wodach górnego biegu Nilu unoszą się płaskie, szerokie liście, z pośród których na smukłych łodyżkach wychylają się śnieżno-białe lub niebieskie korony „świętego" kwiatu — lotosu. Niegdyś zdobiły one wszystkie wody Nilu, zczasem w miarę wzrastającej i rozszerzającej się kultury rolnej, zostały wytępione i dziś występują już mniej licznie.

U starożytnych spotykamy wiele wzmianek o tym kwiecie, który od wieków owiany był tajemniczością i stał się przedmiotem legend oraz badań i dociekań uczonych.

Wielkim kultem cieszył się kwiat lotosu u starożytnych Egipcjan, którzy poświęcili go bogowi Ozirisowi — symbolowi błogosławionego Nilu oraz jego małżonce Izydzie. Głowy kamiennych posągów zdobiły kwiaty lotosu, które bogowie trzymali w wyciągniętych rękach. W świątyniach, w malarstwie i rzeźbie zajął kwiat lotosu poczesne miejsce. Wizerunki tego kwiatu, a w szczególności formy jego kielicha i pączki, zdobiły ściany świątyń jako malowidła. Kapitele kolumn egipskich były wykończone ornamentem, którego powtarzający się motyw stanowiły kwiaty lotosu.

Prócz niego pojawiał się często ornament stylizowanych liści papyrusu (Cyperus papyrus), które trudno było na pierwszy rzut oka odróżnić od kwiatów lotosu. Papyrus był również rośliną wodną, która na wybrzeżach Nilu tworzyła gęste zarośla. Liście jej złożone przypominały postać piramidy, rozchylone zaś układały się w piękny bukiet.
cach.

Kwiaty lotosu, będące symbolem obfitości i dobrobytu, zdobiły domostwa tak biednych jak i bogatych i niejednokrotnie towarzyszyły zmarłym, ukryte w fałdach tkaniny otulającej zabalsamowane ciało.

Właściwym lotosem egipskim, który stał się symbolem Nilu i związanego z nim dobrobytu, oraz był przedmiotem kultu religijnego — to lotos biały (Nymphaea lotus), spokrewniony blisko z piękną mieszkanką wód naszych stawów, tak zwaną liliją wodną, właściwym grzybieniem, czyli nenufarem



Biały lotos (Nymphaea lotus) jest krewniakiem naszej lilji wodnej,

Już Teofrast, grecki filozof i przyrodnik, pisze o tej roślinie, że kwiaty jej na noc zagłębiają się pod wodę tak, że trudno je zerwać. Skoro zaś dzień nadejdzie, wychylają się nad jej powierzchnię. Owoce tego lotosu były jadalne, a z nasion jego sporządzano mąkę na chleb. Tylko kapłanom owoc ten był wzbroniony.

Równie piękny, lotos niebieski (Nymphaea coerulea) mniej był rozpowszechniony od lotosu białego i nie miał takiego znaczenia jako roślina jadalna.

Podobnie, jak w Egipcie, przedmiotem kultu religijnego był lotos biały, związany z błogosławionym Nilem, tak u Hindusów lotos indyjski (Nelumbium speciosum) o różowym kwiecie silnie pachnącym, będącym symbolem urodzajności, pozostawał w związku ze świętą rzeką Gangesem. To też piękna bogini Ganga, uosobienie tej rzeki, trzymała w rękach poświęcony jej kwiat lotosu.

Nasiona tego lotosu, tkwiące luźno w komorach zewnętrznych, na które dzielił się owoc, były jadalne. W późniejszych czasach lotos indyjski przedostał się do Egiptu, nie odegrał tam jednak ważniejszej roli; natomiast w starożytnym Rzymie zajął pewne miejsce w sztuce.

Według jednej z legend hinduskich, Brahma jako stwórca świata spoczywał na kwiecie lotosu, którego budowa symbolicznie miała przedstawiać ziemię, zrodzoną z wodnych odmętów. W Japonji uważany był za symbol zwycięstwa nad samym sobą.

Poza temi gatunkami właściwych lotosów, nazwą tą objęte zostały także inne rośliny nawet z niemi nie spokrewnione, będące krzewami, lub drzewami o jadalnych owo-

Już Homer w Odyssei wspomina o „lotofagach" — zjadaczach lotosu, ludzie, mieszkającym od najdawniejszych czasów na północnem wybrzeżu Libji. Podstawowem ich pożywieniem były owoce lotosu. Pochodziły one z krzewu Zizyphus lotus, zwanego w Arabji jujubą. Mięsiste i słodkie, o przyjemnym zapachu, służyły także do przyrządzania rodzaju wina owocowego. Według Homera, do tych gościnnych „lotosożerców" przybył Odysseusz wraz ze swymi towarzyszami, a słodycz owoców lotosu koiła ich tęsknotę za ojczyzną i dawała zapomnienie. Stąd sąsiednia część wybrzeża Afryki miała uzyskać nazwę Lotophagitis.



Stylizowane lotosy spotyka się często na staroegipskich malowidłach.

Białe i niebieskie kwiaty tajemniczych lotosów egipskich, kołyszących się na wodach Nilu, lub różowe, unoszące się na falach Gangesu, związane z religją starożytnych Egipcjan i Hindusów, stanowią dzisiaj w krajach europejskich piękną ozdobę ogrodów botanicznych. **Dr. Z. M.**

Poniżej: W Japonji widuje się jeziora, pokryte szczelnie kwitnącemi lotosami...



Romans królewski pani d'Orsonvillers.

JAN LAS — NOWELA

Ledwie słońce dotknęło szczytów wzgórz, pokrytych zielonym jeszcze winogradem, w Szmaragdowym Zamku zajaśniały światła stu kandelabrów, w strzelnicach wąskich, jak kocie oczy, migotać jęły czerwone połyski łuczyw, ujętych w żelazne pierścienie a z płaszczyzn murowanych podworców i ściętych szczytów zębatych wieżyc buchnęły w niebo łuny płonącej smoły. Król Francji, dziedzic gallickiej fortuny i gallickiej, życiem radosnej fantazji, wznosił rzęsiste toasty na cześć utraconej niegdyś, odzyskanej Burgundji, płodnej w upojne wino i stokroć bardziej upajające kobiety. Chłopek, któremu mienie całe zrabowało wczoraj żołdactwo, którego woły zagnali dziś na rzeź pańscy trabanci, wychylał się trwożnie z ruin spalonej chaty i jak zwierz dziki, węszący niebezpieczeństwo w każdym chrobocie niedogasłego jeszcze zgliszcza, patrzał wielkiemi, przesądnemi oczyma w daleki zwid promiennego grodu, kędy wstawało zpowrotem zaszłe przed chwilą słońce.

W wielkiej, sklepionej komnacie o oknach rozwartych, za któremi słały się mętniejące, zbłękitnione szarzyzny falistych łanów, za stołem szerokim, podpartym w rogach przez rzeźbione w drzewie, symboliczne postacie — siedział król Franciszek Pierwszy. Przed nim puhar złoty, tłoczony w orszak bakchiczny sprężystych ciał, splatających się w miłosnym uścisku. W puharze wino czerwone, jak wargi kobiece, pieniste i mocne, jak wezbrany strumień królewskiej żądzy.

Naprzeciw, na tle łyskliwych ramion świecznika-meluzyny — pani d'Orsonvillers. Nachyliła się w stronę dostojnego gościa. Palce, podnoszące szeroki dzban, drżały widocznie. Kilka kropel ominęło brzeg królewskiej czaszy i spłynęło wolno wdół, po złocistej płaskorzeźbie Amora. Ciężki, szeroki rękaw fiołkowej sukni osunął się, odsłaniając ramię jędrne, gładkie, jak z kości słoniowej toczone. Król powiódł wzrokiem wzdłuż wolno spływających kropel, podniósł źrenice olśnione niespodzianem zjawiskiem ręki i przesuwał je wzdłuż długich, opierścienionych palców, delikatnych, wąskich kostek, ku ledwie widzialnym smugom zielonych żyłek, biegnących ukrytym szlakiem od miękko zaokrąglonego łokcia wgórę. Pochwycił parę złotych promieni w granatowych zacieniach pach.

Czyż Pani Wenus, z pian morskich zrodzona, wyciągała doń upojne swe ręce? Czekałaż przedługo w Zamku Szmaragdowym na rycerza-zdobywcę zaczarowana księżniczka, la Belle au Bois Dormant?

Zniknęło szare zmęczenie dni spędzonych na koniu, w pogoni za umykającemi chorągwiami hiszpańskiej jazdy i ciężkich niemieckich lancknechtów. Upał krwi, rozżarzonej winem, podszedł do serca i piekł i szarpał.

Wzdrygnął się król. Złudzenie, czy prawda? Czarne, ponure oczy pana d'Orsonvillers patrzyły nań przenikliwie, jakby chciały z głębi jego duszy wyrwać myśl, która w niej dopiero kiełkowała.

Król namarszczył czoło. Odtrącił łokciem błazna, wywodzącego mu nad uchem wrzaskliwe facecje, kazał lutnistom, czekającym na skinienie z instrumentami na kolanach, uderzyć w struny i porwał oburącz do ust kielich wypełniony po brzegi.

Zahuczały okrzyki ucztujących. Brodaci dowódcy najemnych wojsk, którym pół życia zeszło na walkach i gwałtach, rzucali roześmianym dworkom niedwuznaczne żarty, radując się z zarumienionych aż po białe fałdy krez twarzy i przyklaskując odpowiedziom sprawnym, dwornym, choć przez wzgląd na wstyd niewieści ogledniejszym. Biły strugi basowych śmiechów, jak salwy muszkietów, zmieszane z szczękiem kielichów i trzeszczeniem długich, rzezanych ław. Niejedną kibić ciasno opiętą przycisnęło do pozłocistego kaftana mocne ramię rycerza, niejedna nóżka, ukryta w fałdach ciężkich atłasowych sukien, spoczęła nieznacznie na kolanach brodatego sąsiada.

Ale najwięcej niewieściego śmiechu i świergotu było tam, gdzie u końca stołu siedział mistrz Clément Marot. Niezrównanym-bo był poeta królewski żartownisiem, a poprzedzała go sława niezliczonych zwycięstw w turniejach Amora, w których niezawodną bronią była mu nie gładkość oblicza, ani żarliwa w miłowaniu młodość, ale słowa giętkie, opasujące serce kobiece czarem równym w sile miłosnemu napojowi.

Dziś Marotowi nie kleiła się rozmowa. Niespokojny był. Raz, drugi zukosa zerknął na króla, zmarszczył na chwilę czoło, w kącikach ust zadrgał ledwie widoczny, rozumny półuśmiech — i znów w prawo i w lewo rzucał dowcipy pryskające, jak ognie sztuczne, mądre a łaskotliwe, rozpasane a pełne galanterji i fantazji.

Król nie spuszczał z oka pani. Siedziała

milcząca, dumna, z oczyma zakrytemi kotarą rzęs, z pod których tryskały czasem błękitne ognie, jak ciche w noc letnią łyskania. Na falującej pod suknią piersi skrzył się i gasł naprzemian wielki diament, oprawny w kształt łap sępich.

Każdy jej ruch ,gest w kierunku niemej, sztywnej służby, uderzał ożogiem jego rozpaloną chuć, rzucał w serce i twarz strumienie rozszalałej krwi

— Pieśni!!! — rzucił w stronę grajków.

Błazen usłużny porwał lutnię i głosem cieńkim, jak najpiskliwsza fletnia, a żałośliwie śmiesznym, jął wywodzić śpiew do słów niesławnie zmarłego mistrza Villona:

Zwodna miłości, cierpieniem zbyt droga [1],
Okrutna w skutku, w słodyczy obłudna;
Miłości twardsza, niźli stal złowroga,
Mogę cię nazwać, morderczyni cudna;
Serca biednego ty śmiertelny czarze,
Pycho sekretna i wszystkim jednaka;
Oczy okrutne! Czyż ludzkość nie każe
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka?

Przyklasnęło grono. Dworki potrząsnęły główkami z figlarnym uśmiechem i nuż twarze ku sobie pochylać a szeptać z chichotem ciche słówka, a nieznacznie pozierać na rycerzy. Nawet pani rozchmurzyła się.

— Miłość twardsza, niźli stal złowroga! Jako twa miłość, królu, do Burgundji!

W onej chwili pojął król, iż kraj, o który tylekroć walczył i który zdobył po latach klęski, przez jej usta składa laur na jego czole.

— Moja będzie Burgundja — pomyślał — skoro ciebie dobędę; jeśli nie, o nocne walczyłem przywidzenia, co przed światłem pierzchają.

A śpiewak wiódł dalej swoją pieśń nito śmieszną nito smutną:

Lepiejbych czynił, szukając pomocy
Indziej, w przystani jakiej bardziej lubej:
Nic mnie nie zdoła wybawić z twej mocy,
Trzeba mi pchać się sromotnie do zguby;
Ejże, Mężczyzna, czy też dziecko ze mnie?
I cóż stąd? Zginę, skoro wola taka...
Choć litość radzi, niestety daremnie,
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.

— Jako nas wspomógł mąż pani, szlachetny baron d'Orsonvillers, w zdobywaniu umiłowanej i nadal, jak tuszę, wspomagać będzie.

Pani pobladła nagle i oczy jej pobiegły ku królewskiemu krzesłu z wyrazem domyślnego strachu. Lecz władca Francji wzniósł z uśmiechem kielich w stronę barona, a ten pochylił się z twarzą radosną, choć zakłopotaną:

— Nie tej słabej dłoni, ani tej skromnej głowie, do hełmu raczej niż do rady zdatnej, chełpić się, iż kraj nasz radosny królowi pod nogi rzuciła. Ot, w murach Szmaragdowego Zamku, który ciebie, Panie, z tęsknotą wyglądał, a teraz w ścianach swoich gości, drzemie tajń twojej władzy nad Burgundją. A jakoś mnie pieczę nad nim powierzyć raczył. tako ci podług sił służę i w ręce twe w każdej chwili władzę tę złożyć-em gotów

Zaśmiał się król szeroko, a komnaty sklepione pobrzmiały; kielich królewski szczęknął o puhar barona i w uszy pijących wsączać się jęły znów na inny ton nastrojone słowa piosenki:

Przyjdzie ta chwila, kiedy czas zbyt skory
Pożółci, zmarszczy twe nadobne kwiecie;
Śmiałbych się, gdybych doczekał tej pory.
Ba, nie! naówczas — jeśli żyw na świecie —
Staruchem będę, ty maszkarą podłą.
Owoć goń zdrowo: gdyś mnie leda jaka,
Bądz lepsza innym, i mniej to za godło,
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.

Po twarzy Pani przepłynął ledwie widoczny rumieniec. Drobne, czerwone usta zwarły się z figlarną przekorą.

Błazen dostrzegł na czole pańskiem zbierającą się chmurę, więc nie zwlekając, brząknął w struny i śpiesznie kończył:

Królu, ty kochasz; wraz bierze mnie trwoga,
Iż krzywem okiem spojrzysz na cherlaka:
Lecz zacna dusza powinna, prze Boga,
Nie dręczyć, ale wospomagać biedaka.

Lutnia potoczyła się po kamiennej posadzce. Śmieszny ukłon, dwa skoki i trubadur w dzwonkowej czapeczce znikł za kotarą.

Wtedy z ust pani d'Orsonvillers wyszły słowa dźwięczące piękniej od zaczarowanej fletni leśnej:

— Pomnij, panie, iż ty nie jesteś Villonem i tobie zestarzeć się nie przyjdzie w daremnych wzdychaniach do umiłowanej.

Król zerwał się zza stołu.

— Jako żywo! Po raz ostatni powstało we mnie wspomnienie pawijskiej klęski. Zdobędęcię, lub przyjdzie mi tu koronę złożyć wraz z życiem za ciebie... (tu ciszej, z oczyma wbitemi w panią d'Orsonvillers)... Burgundjo!

——o——

Gdy wiodła go w gościnną komnatę, poprzedzona przez dwunastu paziów czerwonych z świecznikami w dłoniach i schylała się nisko w dwornym, pożegnalnym ukłonie, spytał cicho westchnieniem, czy szeptem:

— Jakoż, jakoż ciebie dobędę, Burgundjo?

Natenczas odparła równie cicho, wolno, spokojnie, z ręką przyciśniętą do bijącego serca:

— Jako ci rzekł pan i mąż mój, królu. W murach Szmaragdowego Zamku, który ciebie z tęsknotą wyglądał, drzemie tajń twojej władzy nad Burgundją.

——o——

Skoro tylko hejnał poranny odegrały fanfary na szczycie donjon'u, a w chłodnym wietrze rozwinęły się u wieżyc zamku sztandary, pan d'Orsonvillers wywiódł króla z kaplicy, by własnemi, dostojnemi oczyma obejrzał Castel d'Emeraude, tak niedawno przywrócony jego miłościwemu panowaniu.

Szli wzdłuż murów, pozdrawiani przez chrzęszczące muszkietami straże, obok parapetów, strzelnic i narożników. Wstępowali do wież mądrze w załamaniach umieszczonych, schodzili krętemi, wilgotnemi stopniami aż tam, gdzie słychać było za murem lekki chlupot wody w opleśniałej fosie. Otwierali żelazem kute, w niszach zatajone furty wypadowe i wzrokiem śledzili tajemne schody, kute w prostopadłej ścianie skały, których nie dośledzi najbystrzejsze oko wroga Patrzyli wdal, gdzie w całunie perłowych mgieł rannych leżała uśpiona bratnia Franche-Comté, którą dotychczas tłoczyły stopy potężnego Habsburga.

— Jakoż ci się odwdzięczę, rycerzu — rzekł król — za wierne usługi? Nie zamek jeden, chociażby Szmaragdowy, nie te pola i winnice, bo czemże one są wobec twych prac, ale Burgundja cała, jeśli Fortuna nie zmieni swego niestałego lotu, nam i tobie się dostanie.

Uchylił czoła dumny wasal.

— Zdobyłem ją, królu i bronić będę, póki tchu w piersiach i mocy w ramionach, ale tyś rozdawca łask wszelakich. Jeśli władztwo nad nią dać mi raczysz, stać będę zawsze na twe posługi.

Uśmiechnął się pan i ujął rycerza łaskawie pod ramię, bowiem już kroczyli krużgankiem ku mieszkalnym komnatom.

Nagle zatrzymał się. Przez chytrą twarz jego płomień przeszedł. Na ścianie dojrzał malowidło jakiegoś niepośledniego, zda się, pędzla, a świeże jeszcze, bowiem barwy miały soczysty, pełny blask.

Z pałacowego krużganku brodacz jakiś w koronie spozierał na kobietę białą, jak miąższ wonnego owocu, wychodzącą z kąpieli. Czarne niewolnice na klęczkach otulały jej nogi w obłoczne, jedwabiste płótna. Złote warkocze opadały na delikatną linję ramion, wzdłuż źrałych, ponętnych piersi, kończąc się aż gdzieś u łęku spadzistych biódr drogocennem, szafirowem wiązaniem. Też same oczy, też same nozdrza lekko wydęte, zda się przeźroczyste, i ramię, ramię łowczyni Diany, napinającej łuk, znane, upragnione ramię i ręka o długich, opierścienionych palcach, wąskich kostkach i ledwie widocznych smugach zielonawych żyłek, biegnących od łokcia wgórę.

Wpatrzył się król w czarowny portret pani d'Orsonvillers i choć burzę krwi czuł w piersi, udał jeno zdziwienie wielkie z niespodzianego zjawienia się tak pięknego dzieła. Wspominał sędziwego mistrza Lionarda, zmarłego w zamku królewskim Clos Lucé d'Amboise i chwaląc dzieła jasnej italskiej sztuki, jął pytać wolno, ostrożnie.

Baron opowiadał, jak to w zimę zeszłą, w pół dnia drogi od zamku, znaleziono na śniegu napółżywego malarza Włocha, rannego w walce z łotrzykami, którzy pozbawili go mienia i towarzyszy. Pani oddała go dworkom swoim w opiekę. Chorzał do wiosny. Ale skoro słowiki w zamkowym parku grać zaczęły, obudził się do życia, śpiewać jął damom, śpiewać słodkie piosenki w swoim cukrowym języku, a na ścianie tej w podzięce namalował obraz...

Tu przerwał. Widać nie zamierzał kończyć. Klasnął w ręce. Podbiegli paziowie i król ruszyć musiał do komnat z pytaniem na ustach niewyrażonem, coby ten obraz miał znaczyć.

——o——

Ale w południe przechadzał się raz jeszcze krużgankiem, a obok niego szedł Marot, czytając miłosną balladę swego pióra, którą król posłać chciał tajemnie na zwiniętym pergaminie umiłowanej pani.

Na dziedzińcu zamkowym ćwiczył się oddział w żelazo zakutego żołnierstwa.

Skoro mijali obraz i król zawisł na nim łakomym wzrokiem, domyślny poeta spojrzał w oczy pańskie, skłonił się nisko i czyniąc szeroki gest ku malowidłu, deklamować jął wolno i cicho:

Z pałacu swego Dawid-król
O wczesnym wyjrzał świcie
I patrzył w dom, gdzie Urjasz-wódz
Swą żonę chował skrycie.
I dojrzał, jak w krysztale wód
Cudowne myła ciało.
Pożądał jej więc Dawid-król
I posiąść pragnął śmiało.

— Brawo! Improvvisatore! — przyklasnął pan ze śmiechem, ale w głosie jego znać było napiętą ciekawość i niepokój, podczas gdy poeta cedził rymy coraz wolniej i dobitniej, mrużąc złośliwie jedno oko:

A więc na wojnę poszedł wódz
Za króla, swego pana.
Królowi wnet zgoiła się
Nieznośna w sercu rana.
Zwyciężył wódz i kędyś legł
Za sprawę króla swego,
A Dawid-król radował się
Z zwycięstwa podwójnego.

Władca Francji ujął się oburącz pod boki i śmiał się, aż chrzęścił złoty łańcuch zwisający z jego szyi, bo oto zrozumiał, że spełniły się słowa pani d'Orsonvilles i Zamek Szmaragdowy dawał mu klucz do swej tajemnicy.

O królu mój! Ty kochasz się,
Śni ci się pani hoża.
Pomnij! Dawida potem też
Spotkała kara Boża.

---

1) Według tłum. Boya. Villon: Wielki Testament Ballada Willona dla swej miłej.

Ostatnią zwrotkę ballady zagłuszył okrzyk dziesiątka żołnierskich gardzieli. Oddział, ćwiczący na dziedzińcu zamkowym oddawał honory swemu wesołemu władcy.

Nazajutrz, skoro świt, pan d'Orsonvillers na czele oddziału rycerzy ruszył na rozkaz króla tępić bandy hiszpańskich rozbitków, włóczące się po kraju.

— Moją będzie Burgundja! — wołał król, przybierając płaszcz czarny i maskę i udał się o zmierzchu do komnat pani d'Orsonvillers. zostawiając u drzwi na straży wiernego Marota.

Jak ją zdobył, snadnie dowiedzieć się tego można z historji. Dość, jeśli wspomnim, że mistrz Marot w lat parę, w tajemnicy rzecz całą przyjaciołom opowiadając, przyznać musiał, iż król nie odniósł świetniejszego zwycięstwa i nigdy nagrodą za nie nie była piękniejsza zdobycz.

Zresztą...

— Moją jest Burgundja! — wołał król nazajutrz, urządzając w zamku wspaniałe turnieje. Toż samo wołał, gdy w parę dni później nadszedł pięcią pieczęci zamknięty list z wieścią o pogromie wojsk walczących przeciw cesarzowi w Lombardji pod wodzą pana Lautreca. Toż samo powtarzał, gdy wracać jęły niedobitki oddziału pana d'Orsonvillers, który rozgromiony został przez armję zmierzającą na Szmaragdowy Zamek.

A rycerza samego, wracającego z raną ciężką i cięższą jeszcze obawą przed królewskim gniewem, przyjął łaskawie i obdarzył hojnie, mówiąc:

— Przez pamięć naszej kochanej małżonki w Paryżu, nigdy nie straci w oczach naszych łaski rycerz, któremu Fortuna dobroci swej poskąpiła. I nam wszakże przeciwne jej koło na lat dziesiątek kraj ten odebrało, a przecie wróciliśmy doń i naszą jest Burgundja i naszą będzie. Bronić jej postanowiliśmy tu, w Szmaragdowym Zamku, a ty, boć przecie godniejszego do tej ciężkiej posługi nigdzie nie znajdziemy, rusz, nie zwlekając, do stolicy naszej, a przywiedź nam odsiecz! Tuszę, że z poselstwa tego dobrze się sprawisz, bo w zastaw twego posłuszeństwa zatrzymujemy ci tu małżonkę, od której piękniejszej i bardziej miłowania godnej w Francji, ba, w świecie całym, nie znajdziesz. A jakoże wszelkie nieszczęście z szczęściem idzie w parze, los twój przekonał mnie snadnie, jaką miłością Burgundja do mnie pała i do jakich posług dla swego władcy jest zdolna.

KONIEC.

NASZA NOWA ANKIETA

KOGO NAZYWAM 100% MĘŻCZYZNĄ?

VIII. Artystka dramatyczna — Zofja Lindorfówna.

Co myśli o stuprocentowym mężczyźnie pensjonarka, uczennica siódmej klasy gimnazjalnej? Too pytanie wbiło mi się klinem w program mych wywiadów na temat nowej ankiety „ASA". Bo mówiły kobiety różnych zawodów: Niechże się wypowie kobieta jeszcze bez zawodu, conajwyżej z jednym, tym pierwszym zawodem... miłosnym! Ale jak odnaleźć pensjonarkę siedmnastoletnią? Może przez... dyrekcję któregoś z gimnazjów żeńskich? Zwrócić się poprostu z prośbą o wskazanie uczennicy najbardziej... wykształconej?... Nie! To pachnie konferencją nauczycielską i „pałą" z obyczajów!

Znalazłem jednak uczennicę 7-mej klasy gimnazjalnej, do której drogę miałem otwartą. Tą pensjonarką jest — znana i urocza artystka scen warszawskich — p. Zofja Lindorfówna. Najpopularniejsza obecnie pensjonarka Warszawy. P. Lindorfówna gra w chwili obecnej główną rolę 17-to letniego dziewczątka w komedji „Nieusprawiedliwiona godzina" w Teatrze Letnim. Znakomitej artystce towarzyszy cała „klasa" — kilkanaście statystek, któremi są „autentyczne" 17-to letnie panienki. I naprawdę P. Lindorfówna gra tak „dziewczęco", wygląda tak młodo, iż trudno uwierzyć, iż artystka nie ma owych siedemnastu lat w istocie. W tem miejscu przepraszam stokrotnie p. Lindorfównę, iż wógóle na temat Jej lat zabieram głos. O latach kobiety nie mówi się, choćby nawet ich miała niewiele ponad dwadzieścia.

— Droga, mała Lili! — zaczynam wywiad — (Zofja Lindorfówna odtwarza we wspomnianej sztuce rolę Lili Jaeger) nie przyszedłem do pani jako do aktorki, lecz jako do Lili, do ledwo dorosłego dziewczęcia. Niech pani na chwilę jeszcze nie wychodzi ze swej wspaniałej roli i odpowie mi na pytania tak, jakby mała Lili mówiła na scenie! Czy dobrze?

— Dobrze, będę mówiła jako Lili — odpowiada, śmiejąc się artystka.

— Chodzi o sprawę bardzo poważną. O mężczyzn!...

„Lili" robi wielce zakłopotaną minkę:

— O mężczyzn? Cóż taka postrzelona pensjonarka może o tem powiedzieć? Przecież to są tematy niedozwolone!!! Nie znam się na tem, nie mam pojęcia, jaki powinien być mężczyzna stuprocentowy!

Teraz skolei ja czuję się zakłopotany. Istotnie poruszyłem temat zbyt „niedozwolony".

— No ale mała Lili może mi chyba powiedzieć, tak poprostu, kto przedewszystkiem małej Lili się podoba?

— Ach! Moi profesorzy! A pół klasy kocha się nietylko w profesorach, ale i w księdzu katechecie!

— Więc pierwsi stuprocentowcy w życiu kobiety — to profesor gimnazjalny i ksiądz — wyciągam logiczny wniosek.



Na prawo: Zofja Lindorfówna w roli Lili Jaeger w komedji „Nieusprawiedliwiona godzina".
Fot. Malarski — Warszawa.



Poniżej: Fotografka Halina Skowrońska.
Fot. „Raphael" — Warszawa.

— No tak! — śmieje się p. Zofja Lindorf — jeśli chodzi jednak o mnie, z całym naciskiem zaznaczam, iż nigdy się nie kochałam w swoich nauczycielach. Od dziecka miałam dobry gust!

— Jeśli nie w którymś ze swych nauczycieli, to w kimże w takim razie zakochała się pani po raz pierwszy? — pytam odważnie.

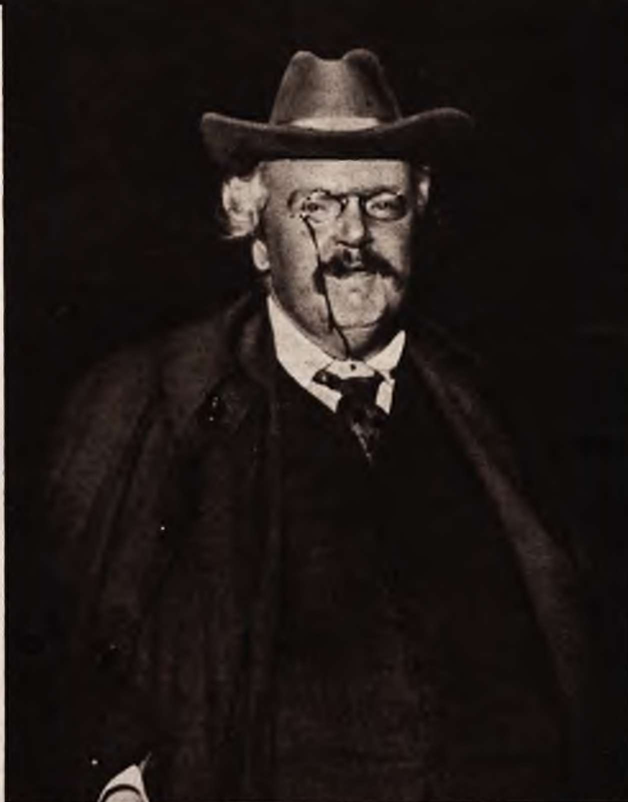
— W pierwszym mężczyźnie stuprocentowym którego poznałam. Zresztą w pierwszym i jedynym. W mym mężu!

Przedziwnie splata się czasem życie i scena. I mała Lili, i jej doskonała odtwórczyni przeżyły tę samą pierwszą miłość. Wielką i jedyną miłość — która prowadzi na ślubny kobierzec.

Cóż wobec świętości prawdziwej, pierwszej miłości kobiety znaczą jakieś problemy stuprocentowości u tych, których kobieta kocha?...

(Dokończenie na str. 18).

G. K. CHESTERTON



Wybitny pisarz angielski G. K. Chesterton, znany ze swoich katolickich poglądów.

Dnia 14 b. m., po krótkiej chorobie, zmarł w Beaconsfield w pobliżu Londynu, znakomity pisarz i publicysta angielski Gilbert Keith Chesterton, znany bliżej i naszemu społeczeństwu z okazji niedawnego (1927 r.) pobytu w Polsce.

Podobnie, jak szereg największych powieściopisarzy współczesnych, G. K. Chesterton rozpoczął swą działalność literacką od dziennikarstwa. Dziennikarstwu pozostał też wierny aż do ostatnich miesięcy swego życia, propagując stale idee sprawiedliwości i oderwania się od materjalistycznych poglądów na świat i ludzi. Z natury był filozofem i analitykiem, pracę dziennikarską uważał jednak za najlepszy środek urabiania ogółu w kierunku społecznym. W istocie, zapatrywania jego na problemy społeczne były, przy całem dziwactwie romantycznych naleciałości i kultu średniowiecza, nawskroś oryginalne. Nie dał się uwieść błyskotliwym hasłom żadnego z współczesnych demagogów, ale głosił oparcie się, w walce o dobra doczesne, na wskazaniach encyklik papieskich, jako jedynie bezinteresownych. „Któż z nas nie jest dziś katolikiem?", wołał na zebraniach i nie wahał się podkreślać swej wiary w wyższość katolickiej religji przy każdej sposobności. Słusznie też uchodził w społeczeństwie angielskiem przedewszystkiem za pisarza katolickiego. Cecha ta zbliżyła go już dawniej do Polaków, których rozumiał, jak nikt może z jego ziomków, i których był zawsze szczerym przyjacielem. Dawał temu wyraz niejednokrotnie i w dziedzinie popularyzacji imienia Polski w Wielkiej Brytanji uczynił bardzo wiele, dzięki entuzjazmowi, z jakim się do niej odnosił.. Przykładem może być pełna zapału przedmowa jego do angielskiego wydania „Nieboskiej Komedji", Krasińskiego.

Odzwierciedleniem społecznej działalności Chestertona są wydane w r. 1905 szkice jego p. t. „Heretycy", w których nie tai swych szczerych, katolickich przekonań oraz ogłoszony w r. 1910 zbiór artykułów n. t. „Dlaczego źle się dzieje na świecie", poświęconych najżywotniejszym w owym czasie w Anglji zagadnieniom, jak walce o równouprawnienie kobiet oraz o reformę wychowania.

W Polsce był Chesterton przed wojną prawie nieznany, a wydanie głośnej jego powieści p. t. „Człowiek, który był czwartkiem" w przekładzie Rzymowskiego (1914 r.) wywołało rozbieżne zdania. Książki tej nie można było uważać za wyłącznie sensacyjną, jakkolwiek posiadała wszelkie cechy dobrej powieści tego typu. Najcenniejszemi kartami jej są bowiem ustępy raczej groteskowe. Ta niezwykła kontrastowość, ten paradoksalny humor, który przemawia do wyobraźni czytelnika właśnie w tej powieści jest jedną z najistotniejszych cech twórczości powieściopisarskiej Chestertona. Uwydatniła się ona i w przeróbce scenicznej tego utworu, znanej w Krakowie z występów zespołu lwowskich artystów (1934 r.). Inne powieści zmarłego autora np. „Kula i krzyż", poruszająca problemy religijne, „Latająca gospoda" oraz „Napoleon z Nottinghillu" cieszyły się, także i w Polsce, znacznie mniejszem powodzeniem. Za najwybitniejszy utwór Chestertona, a w każdym razie dzieło, będące najlepszem odzwierciedleniem jego idej uważają powszechnie „Żywego człowieka".

Z okazji przyjazdu Chestertona do Polski, w której bawił przed ośmiu laty, jako gość polskiego Penclubu, zwrócono u nas uwagę na ten dział jego twórczości, który pozyskał mu w pewnych kołach wielką sławę, tj. na nowele kryminalne. W istocie, Chesterton, jak wielu najznakomitszych angielskich literatów, zajmował się aż do ostatnich lat powieścią kryminalną, stwarzając w tej dziedzinie zupełnie oryginalną postać Ojca Browna, księdza katolickiego, który dzieki znajomości duszy ludzkiej oraz wnikaniu w pobudki i motywy postępowania osób działających, rozwiązuje najtrudniejsze i najtragiczniejsze zagadki. Cykl nowel kryminalnych Chestertona, zapoczątkowany w roku 1911 „Niewinnością Ojca Browna", postawił go w rzędzie najznakomitszych przedstawicieli powieści tego typu, jakkolwiek nowelki te różnią się w pewnej mierze od innych popularnych nowel sensacyjnych. Cechuje je bowiem wyłącznie „akcja wewnętrzna", dzięki której rozwiązanie tych literackich zagadek nie wymaga tak często spotykanych u innych autorów jaskrawych efektów i nieumotywowanych epizodów. Są to sensacje raczej z tytułów, niż z treści, gdyż niektóre z poruszonych w nich problemów są zagadnieniami ogólnoludzkiemi i zrozumienie ich wymaga, jak mówi Ojciec Brown, tylko odpowiedniego „podejścia". Nie ulega jednak wątpliwości, że „Przygody Ojca Browna" są dzięki ich sensacyjnej treści najlepiej znanem dziełem Chestertona w Polsce i zagranicą.

Utwory dramatyczne Chestertona („Magik", „Czary") nie cieszyły się nigdzie większem powodzeniem, może ze względu na nieodpowiedni wybór tematów, interesujących tylko pewne sfery. Mniej znanemi są również jego poezje, utrzymane w duchu katolickim („Poematy" 1915) oraz utwory symboliczne w rodzaju „Ballady o białym koniu".

Dużą wartość dydaktyczną posiadają natomiast jego monografje, poświęcone wybitnym pisarzom angielskim i obcym (Tołstoj), z których największą poczytnością cieszy się do dzisiejszego dnia praca o Karolu Dickensie.

Chesterton jest postacią wśród angielskich powieściopisarzy niezwykłą. Nie był on ani konserwatystą, jak Hardy, ani imperjalistą, jak Kipling, ani nowatorem, jak Conan Doyle. Nie szukał on szczęścia w drodze wiary w przemianę dusz, jak Haggard Rider lub dalszego interesowania się ziemskiemi przejściami, jak autor Sherlocka Holmesa. Wychowany w społeczeństwie anglikańskiem, materjalistycznem i strzegącem zadrośnie własnych zapatrywań, zdobył się jednak na przekonanie, jak pokrewny mu pod pewnemi względami R. H. Benson, że osiągnięcie szczęścia i spokoju na tej ziemi jest niemożliwością bez uznania podstawowych zasad, jakie głosi kościół katolicki. I pod tym względem jest Chesterton w rzędzie współczesnych wielkości literackich zjawiskiem prawie że wyjątkowem.

Ogromna oryginalność fabuły w dziełach Chestertona, upodobanie w myślowych, jeżeli nie słownych paradoksach, a przedewszystkiem wysoce charakterystyczny sposób ujmowania poważnych zagadnień w formie satyrycznej, zapewniają zmarłemu pisarzowi poważne miejsce w literaturze europejskiej.

W. de Riche.



FONTANNA... Fragment parku zamku Cadinen w Niemczech. *Presse-Photo — Berlin.*

Z NEWNHAM-COLLEGE STUDENTKI



Wielką oryginalność charakteru i zupełną odrębność pojęć w porównaniu z innemi narodami zawdzięczają Anglicy nietylko swemu wyspiarskiemu położeniu, ale w równej conajmniej mierze swym szkołom. Grubo by się jednak ten mylił, ktoby twierdził, że szkoła angielska postawiona jest na „współczesnym" poziomie, lub była nią kiedykolwiek. Anglicy, konserwatyści nietylko z upodobania, ale również z obrachowania, nie hołdowali nigdy nowinkarstwu. Dosyć przypomnieć liczne powieści Dickensa, w których tak ostro a złośliwie krytykuje stosunki panujące w szkołach angielskich, przypominających w jego czasach średniowieczne nieomal zakłady naukowe. Anglik myśli powoli, ale solidnie i dopiero wtedy wprowadza jakąś nowość, skoro inne narody wypróbowały ją dostatecznie, gdy natomiast się na niej sparzyły, obce doświadczenie chroni go od niewczesnych eksperymentów. Jeżeli Jan Wolfgang Goethe pisze w swoich pamiętnikach „Poezja i rzeczywistość", że geografji uczył się z podręcznika... wierszowanego i zaopatruje to wspomnienie w złośliwą i nadwyraz, jak na owe czasy, postępową uwagą o bezsensowności tego rodzaju nauczania to przecież i w Polsce przez dwa zgórą wieki uczono się również wierszowanej gramatyki łacińskiej Alvara! Rzecz prosta, że tego rodzaju „zabytki" nie zdarzają się w dzisiejszej szkole angielskiej, mimo wszystko jednak duch tam panujący przesiąknięty jest tradycją.

Tradycja i postęp! Oto dwa dziwne składniki życia angielskiego, przeczące wszelkim doświadczeniom na kontynencie i pozostające dla nie-Anglika zagadką tego narodu. Ale gdy bliżej się przyjrzymy tej psychologji zobaczymy, że „zagadkę" można zredukować do słowa „zdrowy rozsadek" lub, mówiąc poprostu — „chłopski rozum". Zagadką psychologji angielskiej jest przedewszystkiem to, że Anglik stara się wszystko w życiu ułożyć prosto i nieskomplikowanie, skorzystać z doświadczenia przeszłości i wystrzegać się wszelkich eksperymentów, tak boleśnie dających się we znaki różnym narodom. Taką jest szkoła angielska. Czy to będzie Cambridge, Oxford, czy też wiele innych uniwersytetów w starej Anglji, lub w jej kolonjach, jak również różne „colleges", to wszędzie zauważyć można dziwną prostotę sposobu nauczania, stosunkowo mało skomplikowany program nauk i nadewszystko silnie rozwiniętą dbałość o fizyczny stan studentów lub uczniów. Młody Anglik uczy się stosunkowo mało, a główny nacisk kładzie się na przyswojenie wychowankom ogólnych pojęć o danym przedmiocie, nie wchodząc w szczegóły, które i tak wkrótce... wylecą im z pamięci. Umysłowość Anglika przypomina angielskie meble: komfortowe, z dobrego materjału i stosunkowo nieliczne.

Jakże daleko życie studenta czy ucznia angielskiego odbiega od egzystencji jego kolegi na kontynencie! Nauka w Anglji jest nadwyraz „demokratyczna". Nie wymusza się w tym stopniu co u nas pilności u słuchacza czy ucznia, pozostawia się jemu samemu „podciągnięcie" się do właściwego poziomu, ale z drugiej strony istnieje pewność, że konieczność nauki dobrze jest zrozumianą przez niego i względna swoboda nie zostanie nadużyta w celu klasycznego „dolce far niente". Przy całej swobodzie w zachowaniu, jaka charakteryzuje młodzież angielską ma ona nader wysokie pojęcie o swoich przyszłych zadaniach i hołduje w całem tego słowa znaczeniu zasadzie „mens sana in corpore sano". Przyczyniają się do tego oczywiście w pierwszym rzędzie sporty, które daleko więcej wzmacniają światopogląd młodego Anglika, niż różne mądre maksymy i przykazania. A przytem wszystkiem spotkać się możemy w życiu młodzieży angielskiej z pewnemi cechami naiwności, jakbyśmy to z naszego kontynentalnego punktu widzenia nazwali. Panuje tam przedewszystkiem wielkie poszanowanie hierarchji, jakąby nie była, uznanie stanowiska zdobytego przez starszych i nie-krytykowanie ich. Dla przeciętnego studenta europejskiego to poszanowa-



Olbrzymie okno dostarcza hallowi dużo światła...



W kole: Imponująca bibljoteka dostarcza wszechstronnych źródeł do studjów.



Obok: Popołudniowa siesta studentek przy kominku bibljoteki.



Na prawo: Jedna z egzotycznych studentek Newnham-College, pochodząca z Hajderabadu.

nie władz uniwersyteckich, jakoteż wszelkich innych mogłoby się wydawać brakiem własnego zdania, niemrawością, albo nawet głupiem podporządkowaniem się „zmurszałej“ generacji, która powinna ustąpić. Lecz Anglik wie dobrze, iż życie tworzy różnice, zaopatruje jednych lepiej a drugich gorzej i na to niema sposobu. Owszem jest sposób! Przebić się przez życie, stanąć na wyżynie i móc nakazywać innym posłuch i poszanowanie.

„Struggle for life“ (walka o życie) — oto zasada, jaka panuje w Zjednoczonem Królestwie Wielkiej Brytanji wraz z Wolnem Państwem Irlandzkiem i kolonjami over the Seas! Na wspomniane poglądy życiowe młodej generacji złożyły się bardzo liczne czynniki, których nam niepodobna wymienić wszystkich, wspomniemy więc tylko o jednym z nich. Jak wiadomo sposób dziedziczenia majątku w Anglji jest — według naszych pojęć kontynentalnych — niesprawiedliwością. Zaczynając od historycznych rodów angielskich aż po bogatą burżuazję, do której należą liczni mężowie stanu, politycy, wojskowi, dyplomaci i luminarze wolnych zawodów, „gros“ majątku otrzymuje najstarszy syn, reszta zaś dzieci kontentować się musi odpowiedniem przygotowaniem do walki życiowej, i... dziesięcioma palcami! Możnaby zarzucić temu twierdzeniu, że przecież nietylko ci ludzie, t. j. lordowie i różni Forsyte'owie istnieją w Anglji. Byłby to zarzut powierzchowny: każdego przecież nieomal wybitnego Anglika prędzej czy później można zaliczyć do lordów, gdyż Zjednoczone Królestwo nagradza sowicie tych, którzy się zasłużyli, psychologja więc feudalnej jeszcze arystokracji angielskiej przesiąka do tysiącznych rodzin burżuazji i wogóle tych wszystkich, którzy dzięki swym zdolnościom wybijają się na powierzchnię. Ciekawem jest że dajmy na to młodsi synowie, czy też bracia księcia of Marlborough noszą jedynie nazwisko rodzinne Churchill, nie posiadając z tytułu działów rodzinnych majątku i sami zdobywać sobie muszą pozycję w świecie. Zato jednak korzystają w pełni z rodzinnej ostoji w postaci siedziby rodziny i wszystkich jego pamiątek i tradycyj.

Polaka, zaglądającego do Anglji, choćby na krótki przeciąg czasu, uderza przedewszystkiem wielka naturalność młodych Angielek, ich praktyczność życiowa, prędka decyzja i zupełna samodzielność. Te właśnie cechy powodują, iż życie tych osób układa się o tyle łatwiej i, powiedzmy szczerze, mądrzej jak pannom na kontynencie. W wysokiej mierze przyczynia się do tego wychowanie, jeżeli już nie w uniwersytetach, to w niższych zakładach naukowych, w pensjonatach itd. Te cechy wpaja np. istniejące w Cambridge „college“ dla panien, które chodząc na wykłady uniwersyteckie przebywają tam przez cały nieomal rok, ucząc się pod kierownictwem swoich „tutor“. Kompleks budynków, oczywiście z czerwonej, miejscami szarzejącej cegły, otoczony jest wspaniałemi trawnikami, tak charakterystycznemi dla Anglji, a liczne place tenisowe, boiska sportowe i wszelkiego rodzaju urządzenia, służące fizycznemu rozwojowi, dopełniają powabu tej siedziby. W Newnham-College panuje zresztą wielki komfort, jakiegoby napróżno się szukało w europejskich siedzibach młodzieży. Światło i powietrze — oto dwie zasadnicze myśli, jakie kierowały przy budowaniu tej przystani młodzieży akademickiej. Oczywiście, że dziewczęta przebywające tam, należą do rodzin zamożniejszych, jeżeli nie wręcz zamożnych, a trzeba zaznaczyć, że wśród Angielek znajduje się tam wiele „kolorowych“ studentek, przybyłych nieraz z Indyj, Afryki i innych stron świata. Obszerna i wysoce celowo dobrana bibljoteka ułatwia studja. Newnham College nie byłoby siedzibą Anglików, gdyby brakowało tam zacisznego kominka, który nietylko w powieściach angielskich, ale też w „prawdziwem“ życiu synów Albionu gra tak dużą rolę. Oczywiście, że ściany sali jadalnej zdobią portrety znanych uczonych, profesorów uniwersytetu i wogóle opiekunów młodzieży. Całe college jest typową angielską siedzibą, z której wychodzą studentki, mające w przyszłości odegrać tak niepozorną, zdawałoby się, a jednak tak ważną rolę w życiu narodu: żony i matki.

Uniwersytet angielski, gdzieby nie był, pozostaje propagatorem tej dziwnej kombinacji, na jaką składa się dobra fajka, angielska flegma, wygodne meble, w stylu Sheratona, czy Chippendala, zamiłowanie do golfu i koniarstwa oraz naiwnych nieco powieści, w których wszystko się dobrze kończy, a wchodzącej w skład zewnętrznego i wewnętrznego obrazu typowego Anglika. Ciekawem jest, że te cechy pozostają w charakterze Anglika, nawet tam, gdzie stanowi on mniejszość — otoczony zewsząd obcymi. Zaiste godzien jest zazdrości naród, który przez tyle wieków zdołał utrzymać swój typ narodowy, dostosowując go tylko w miarę potrzeb do chwili bieżącej!

Jan Maleszewski.


Jedynym mężczyzną w College'u i ulubieńcem studentek jest portjer John...


Niejedna z college-girls jeździ na wykłady do uniwersytetu rowerem...


Fragment zabudowań Newnham-College.


Na lewo: Wśród studentek spotkać można mistrzynie gry w cricketa...


Przy lunchu...

WSZYSTKIE ZDJĘCIA P. POPPER - LONDYN.

„Siostry Peretti”...

Przed kilku tygodniami obiegła europejską prasę wiadomość o zgonie kobiety, której nazwisko nie tak dawno jeszcze było na ustach całego świata.

Sława „Sióstr Peretti“, do których ona właśnie należała, sięga czasów niepodzielnego władania welocypedu, czyli roweru, zaopatrzonego w dwa różnych wymiarów koła (przednie bywało dwa razy większe od tylniego). Na takich dwukołowcach wykonywały one swe karkołomne ewolucje, które zyskały im nawet nazwę „sióstr djabła“, prócz wysokich odznaczeń prawie wszystkich krajów świata. W latach 1871—1886 stanowiło trio Peretti najbardziej atrakcyjny numer, o który rozbijały się dyrekcje największych przedsiębiorstw cyrkowych, a za którem dosłownie szalały tłumy. Areny i sceny Kopenhagi, czy Wiednia oglądały je równie często, jak te w Pradze, Sztokholmie, Paryżu czy Londynie. Swe wyjątkowe powodzenie zawdzięczały siostry faktowi że rower w ówczesnej swej postaci był czemś zgoła nowem, a technika jazdy na dwukołowcu prawie zupełnie ogółowi nieznaną. To też np. taki wyścig w Bordeaux w r. 1877 zgóry musiał być przesądzony na korzyść sióstr Peretti, które swym startem udowodniły, że sztuka ich nietylko polegała na efektownych ewolucjach ale opierała się również na dobrej zaprawie sportowej.

Rok 1893 przynosi zmierzch ich sławy, spowodowany skonstruowaniem normalnego, dzisiejszego roweru, do którego formy nie umiały dostosować swych produkcyj. Najstarsza z nich, Minna Engel (Peretti, to był tylko pseudonim) przeżyła jeszcze wiele lat w domowem zaciszu, przechowując z pietyzmem jak relikwję swój welocyped, który przyniósł jej sławę na arenach i scenach świata. Przed kilku tygodniami musiała zejść ze sceny życia — na zawsze.

el.

Minna Peretti w jednej ze swych efektownych ewolucyj na welocypedzie.



Na prawo: Siostry Peretti w czasie, gdy były na ustach Europy (1880).



Na lewo w kole: Minna Peretti posiadała odznaczenia prawie wszystkich krajów europejskich.

Na prawo: W okresie największej sławy.





Na lewo w kole: U schyłku życia — zapomniana przez świat i tłum wielbicieli.

Minna Peretti







Powyżej od lewej: Karta tytułowa kompozycji „Peretti Galopp“, poświęconej słynnym siostrom. — Ilustracja z r. 1877, przedstawiająca siostry Peretti na starcie wyścigu kobiecego w Bordeaux. — Na prawo: Zdjęcia z etapów karjery sióstr Perreti, na przestrzeni czasu od 1871—1886 r.

Dokończenie ze str. 11-ej).

IX. Fotografka: Halina Skowrońska.

Mimo powszechnej emancypacji kobiet, kobieta-fotograf, jako samodzielny rzemieślnik w tej dziedzinie artystycznej twórczości, jest jeszcze rzadkością. P. Halina Skowrońska. mimo swych zaledwie dwudziestu jeden lat (znowu lata!!!), jest już właścicielką jednego z największych stołecznych zakładów fotograficznych, mało tego, iż po długiej i żmudnej praktyce i egzaminach zdobyła w swym zawodzie zaszczytne stanowisko. Panna Halina sama dokonuje zdjęć, kieruje zakładem; specjalizuje się w zdjęciach portretowych. Zaciekawiało mnie więc, jakie spostrzeżenia zebrała w swej praktyce fotograficznej.

— Jacy mężczyźni są klijentami zakładów fotograficznych? — zadaję pierwsze pytanie pannie Skowrońskiej. Czy ci „stuprocentowi", czy też przedstawiciele gatunków mniej oprocentowanych?

— I tacy i tacy — mówi sympatyczna rozmówczyni — przychodzą mężczyźni rasowi, prawdziwi przedstawiciele męskiej stuprocentowości, no i panowie, którym niestety... brak tych zalet. I tych i tych poznaję zaraz na pierwszy rzut oka. A jeśli to pierwsze wrażenie zawiedzie, wówczas wystarczy mi obserwować przez chwilę mężczyznę w czasie dokonywania zdjęcia.

— Więc — powiedzmy — mężczyzna, któremu odmawia pani zaszczytnego miana stuprocentowca? Co go charakteryzuje?

— Taki pan przychodzi do zakładu fotograficznego wprost od fryzjera, wypomadowany, wyfryzowany, nierzadko zondulowany i pachnie od niego wodą kolońską na pół kilometra. Pan rozumie, że co, jak co, ale zapach wody kolońskiej jest do zdjęcia zbyteczny.

— Nie jestem fotografem, ale wierzę pani na słowo — żartuję.

— A dalej — ciągnie panna Halina — są panowie, którzy idąc się fotografować, golą sobie brwi...

— Co takiego!!!??? — przerywam ze zdumieniem.

— No tak, golą brwi, aby retuszerce łatwiej potem było narysować piękną linję brwi à la Ramon Novarro lub inny Cooper. Taki jegomość nie zdąży powiedzieć, jakiego życzy sobie zdjęcia, a już siedzi przed lustrem, pozuje się, próbuje i przymierza na sto sposobów. A uprzedza! A ostrzega! To nos musi być z lewej strony, to krawat z prawej.

— Więc to są mężczyźni o ilości procent..

— Zero — kończy panna Halina.

— Jacyż w takim razie są mężczyźni stuprocentowi? — pytam.

— „Stuprocentowiec" — tłomaczy rozmówczyni — to mężczyzna, który ma w sobie coś z artysty. Musi mieć w sobie duży zasób wartości wewnętrznych, subtelność musi koniecznie być muzykalny i kochać muzykę! Choćby w najskromniejszym stopniu. Widzę, że pana zaskoczyła moja odpowiedź. Bo gdzie fotograf a gdzie muzykalność, nieprawdaż? Wyjaśnię to panu bliżej. W zakładzie swoim mam pewne urządzenie Nic rewelacyjnego. Rzecz, którą spotyka się i gdzieindziej. Patefon. W czasie zdjęć fotograficznych nagrywam płyty gramofonowe I oto spostrzegłam, że mężczyźni, których na podstawie innych obserwacyj określiłam jako bliższych ideałowi „stuprocentowca", silniej reaguje na muzykę. Odczuwają tę muzykę jakoś subtelniej. Taki n. p. szczegół: Wyczucie przez mężczyznę moich wysiłków w kierunku dobrego upozowania przed objektywem. „Stuprocentowiec" przez swą subtelność i tę dozę artyzmu, którą w drobnej choć cząstce musi posiadać, wyczuje z łatwością, iż tak uprzykrzone w zakładach fotograficznych „pozowanie" nie jest zdawkowem „załatwianiem" klijenta, lecz wprost, moim artystycznym wysiłkiem! — Tego zrozumienia, jako fotograf, w pierwszym rzędzie domagam się od mężczyzn stuprocentowych!

Romit.

»Vol de Pentecôte«

Na prawo: „Spalentor" jeden z najciekawszych zabytków przeszłości w Bazylei, widziany z lotu ptaka.

Poniżej: Uczestniczka lotu Szwajcarka p. Ruzha na samolocie, w kole anteny radjowej.



Prezes austrjackiego Aeroklubu ks. Kinsky żegna się na lotnisku w Grazu z prezesem Aeroklubu niemieckiego znanym lotnikiem transatlantyckim p. Gronau.

W czasie od 28. V. do 4. VI. b. r. więc w okresie Zielonych Świąt, odbył się międzynarodowy lot turystyczny p. t. „Vol de Pentecôte", zorganizowany przez Aeroklub austrjacki w porozumieniu z Aeroklubem szwajcarskim. Lot prowadził przez najpiękniejsze okolice Austrji i Szwajcarji poprzez szereg lotnisk górskich. Punkty etapowe znajdowały się w większych miastach, w których niezmiernie gościnnie przyjmowano uczestników.

„Vol de Pentecôte" nie nosił charakteru imprezy czysto sportowej, mimo że celem zmuszenia uczestników, aby przelatywali nad najpiękniejszemi okolicami kraju, kładziono w terenie litery, które piloci samolotów powinni byli odnotować na mapach. Wprawdzie fatalna pogoda, jaka panowała podczas całego prawie lotu Zielonych Świąt w znacznym stopniu pokrzyżowała te plany, jednak jedyny piękny dzień, jaki przypadł w udziale uczestnikom właśnie podczas przelotu nad Szwajcarją, pozwolił na rozkoszowanie się nieporównaną pięknością gór okrytych śniegiem i błękitnych jezior, nad któremi prowadziła trasa.

Na starcie w Celowcu zgromadziło się w dniu 28 maja b. r. blisko 50 samolotów turystycznych, wysłanych przez szereg krajów europejskich: Anglję, Francję, Szwajcarję, Włochy, Niemcy, Holandję, Polskę, Austrję, Czechosłowację. Jedynie Anglja, Niemcy, Włochy i Czechosłowacja wystąpiły wyłącznie na samolotach własnej fabrykacji. Polska wysłała dwa samoloty krajowe typu „R. W. D. 13" i jednego angielskiego „Leopard-Motha". Inne kraje, jak np. Holandja, Austrja i Francja posługiwały się przeważnie samolotami pochodzenia angielskiego, wśród których przeważały popularne samoloty turystyczne de Havillanda. Polskie „R. W. D. 13" będące zmodyfikowanemi challenge'ówkami mogły imponować wszystkim swojemi fenomenalnemi startami i lądowaniem.

Mimo, że lot nosił charakter ściśle turystyczny przez szereg państw obsadzony on został pod względem personalnym podobnie jak challenge. Piloci sportowi byli w ogromnej mniejszości, przeważali piloci zawodowi. Tak n. p. wszyscy piloci niemieccy, włoscy byli zawodowymi lotnikami wojskowymi. Polskę reprezentowali płk. Chramiec i płk. Perini na „R. W. D. 13", por. Kłosiński niżej podpisany na „R. W. D. 13", i p. Skórzewski z żoną na „Leopard-Moth".

„Vol de Pentecôte" obfitował w ogromną ilość oficjalnych przyjęć, zwiedzań i urozmaiceń. Gościnność ze strony Aeroklubu austrjackiego reprezentowanego przez jego prezesa ks. Kinsky'ego, który ujął serca wszystkich zawodników swą uprzejmą prostotą i serdecznością, oraz Aeroklubu szwajcarskiego była w jak najlepszym gatunku, a cel imprezy — zbliżenie pilotów z najrozmaitszych krajów, został w znacznym stopniu osiągnięty. Niestety pogoda zupełnie nie dopisywała, zaś koniec rajdu turystycznego odbywał się nawet w warunkach katastrofalnej niepogody.

Zazwyczaj po licznych przyjęciach lotnicy odpoczywają najlepiej na pokładzie samolotu. Tym razem nie był to odpoczynek, ale ciężkie zmaganie się ze strasznemi warunkami atmosferycznemi.

Dr. Kazimierz Piotrowski.

WEEK-END PRZED OBJEKTYWEM REPORTERA



Powyżej: Lena rozpoczęła wyścig, zbiegając z stromego zbocza

Obserwowałem ich od dłuższego czasu. Ona wychodziła zawsze po niego o 2-giej. Na najbliższym przystanku tramwajowym rozstawały się nasze drogi. Oni wsiadali do tramwaju, a ja skręcałem w najbliższą przecznicę.

Nigdy nie starałem dowiedzieć się jak się nazywają. Obserwowałem ich niemal codziennie, tak jak się ogląda ilustrację w tygodniku. Oboje stanowili typ nowoczesnej pary. Weseli, uśmiechnięci, pełni życia i humoru.

Którejś soboty podsłuchałem przypadkowo, że wybierają się na wycieczkę w góry. Nie wymienili żadnej miejscowości, dosłyszałem tylko, że pociąg, którym zamierzają wyjechać, odchodzi o 3.15.

Gdy przyszedłem do domu, w głowie mej narodził się zgoła oryginalny plan. Pomyślałem sobie, że byłoby bardzo interesujące napisać reportaż z wycieczki week-endowej anonimowej pary i zilustrować go fotograficznie. Projekt ten wydał mi się tak ponętny, że szybko zjadłem obiad, przebrałem się i nabiwszy aparat fotograficzny, pojechałem na stację.

Lecz teraz wyłonił się problem. Do jakiej stacji kupić bilet? Z rozkładu jazdy wybrałem stację, do której pociąg pospieszny, wychodzący o 3.15, przybywa o 6-tej. Z całą pewnością nie wybierają się dalej — myślałem.

W pociągu z łatwością odszukałem moich znajomych-nieznanych. Usadowiłem się naprzeciw nich i przysłoniwszy się gazetą, bacznie słuchałem, co mówią. Po godzinie moje „ofiary" zaczęły przygotowywać się do wyjścia. Ja również, gdy pociąg się zatrzymał — wysiadłem i jak gdyby nigdy nic — w odległości kilkunastu kroków, zdążałem za niemi.



Byli u celu! Przed nimi roztaczała się urocza łąka zapraszająca do wypoczynku.

Jeszcze w pociągu dowiedziałem się, że ona miała na imię Lena, on zaś Janusz. Oboje byli w doskonałych humorach i zdążali teraz na przełaj ku podnóżom niedalekich gór.

Powietrze było rzeźwe, nasycone południowem słońcem. Góry rysowały się twardo na tle jasnego błękitnego nieba. Dom stacyjny pozostał daleko za nami. Lena i Janusz przeskoczyli mały płotek, zdążając na przełaj ku górom. Srebrny śmiech Leny zawibrował w powietrzu jak refren wiosennej piosenki. Błyskawicznym ruchem podniosłem do oka celownik aparatu i.. .trzask! Pierwsze zdjęcie zrobione. Na szczęście nie zauważyli mnie. Zajęci wyłącznie sobą nic wogóle nie widzieli i widzieć nie chcieli.

Zorjentowawszy się, że Lena i Janusz zamierzają „zdobyć" najbliższe wzgórze, którego wysokość, sądzę, nie przekraczała kilkuset metrów — wybrałem inną drogę, krótszą, która pozwoliła mi podejść moich znajomych i dokonać kilku zdjęć zupełnie niespodziewanie. Chodziło mi przytem, aby zniknąć im na chwilę z horyzontu, bo cho-



Na prawo: Lena przy pomocy Janusza przezwycięża pierwszą przeszkodę!

ciaż wprawdzie nie poświęcali mi zupełnie uwagi, ale wolałem być ostrożnym.

Piąłem się po stromem zboczu. Od pobliskiego lasu szedł wilgotny i wonny powiew. Trawa uginała się miękko pod nogami, a moje turystyczne obuwie pokryło się wnet „kurzem" z główek mleczów, które rosły tu obficie. Gdzieś wdali nawoływały się kukułki. Duże aksamitne trzmiele bzykały, połyskując w słońcu skrzydełkami, jakby wyciętemi z delikatnego celofanu.

Na niebie od zachodu pojawiły się duże białe obłoki, które sterowały leniwie, jakby zagubione latawce. Zapach lasu stawał się coraz bardziej intensywny — cisza coraz bardziej spoista.

Niema co — wkraczaliśmy w cudowny kraj — za siedmioma górami i siedmioma rzekami — w ojczyznę młodości i miłości.

W sam czas przypomniałem sobie, że w tej pięknej krainie jestem dziś „służbowo". Z za drzew błysnęła mi sylweta Leny. Szybko przekradłem się zaroślami i zaczaiłem się na mych znajomych za potężnym pniem drzewa. Trzask... drugie zdjęcie zrobione! Sądzę, że wypadnie ładnie. Nawet kukułka poszła mi na rękę, bo zakukała w takim momencie, że zagłuszyła trzask migawki.

— Dobre!

No, byliśmy na szczycie. Ukryłem się w trawie i obserwowałem. „Oni" usiedli pod drzewem, śmiejąc się bez przerwy. Lena uchwyciła się za gałąź potężnego krzewu i podgiąwszy nogi, była pewna, że dokonała niesłychanego wyczynu gimnastycznego. Janusz patrzył w dziewczynę rozkochanemi oczyma.



Kwiaty polnej jabłoni trudno czasem zerwać... Lena jest jednak zwinną i wnet je dostanie w swoje ręce.

Ja — nieznany reporter, zagubiony w trawie — zadumałem się nad pięknem roztaczającego się przedemną widoku. — Jakże poetycznem uzupełnieniem krajobrazu była ta para, młoda, zdrowa i świeża. Przyszło mi na myśl, że zakochani są niezmiernie pięknym motywem górskiego krajobrazu. Ci sami młodzi w mieście nie byli tak piękni, ani tak poetyczni. Tutaj byli na właściwem miejscu, na przepięknem tle.

Chwilami miałem wrażenie, że kręcę romantyczny film, a Lena i Janusz świadomie grają rolę zakochanych przed objektywem mojego aparatu.

Czerwcowy dzień przechylił się ku zachodowi. Wydłużone cienie drzew odcinały się wyraziściej na tle łąki. Wiatr ułożył się wśród drzew — cały krajobraz wypełnił się ciszą.

Janusz i Lena ucichli również. Przez lornetkę mogłem ich doskonale obserwować. Nagle wyczułem, że popełniam wielką niedyskrecję. Oto teraz przyszła godzina zwierzeń. Zapewne za chwilę powiedzą sobie pocałunkiem o swej wzajemnej miłości. Postanowiłem uszanować tę chwilę.

Ostrożnie zsunąłem się trochę niżej i po chwili lesistem zboczem schodziłem ku dolinie.

Rzuciłem okiem na licznik aparatu — 5 zdjęć!

Wyprawa skończona. Dokonałem reportażu, przedsiębiorąc „podróż w nieznane" — w pościgu za nieznaną parą. Tak oto wygląda week-end przed objektywem reportera. **Juljusz Mieroszewski.**



Zapomnieli o bożym świecie, zajęci tylko sobą...



NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

CREOLA

RUMBA

MUZYKA BOBBY EISINGERA



Tempo di Rumba.



KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 4.

Napisał H. WILDE POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Nagle usłyszałem ryk syreny i zobaczyłem, jak do portu, u ujścia rzeki, wpływa wolno jakiś parowiec. Zatrzymał się, spuścił kotwicę i stanął na niej, o jakieś 200 metrów od brzegu. Wtedy spuszczono na wodę łódź. Zaczęła kierować się ku rodzajowi pomostu na palach, wbitych w nadbrzeżną glinę. Na tyle łodzi dostrzegłem stojącego człowieka. Ze sylwetki i po stroju poznałem Europejczyka. Łódź kilka razy musiała skręcać, by wyminąć jakąś, niezdarnie manewrującą, ociężałą dżonkę. Dolatywał mnie wtedy ostry głos, który krzyczał coś, tonem mocno zirytowanym. Głos był też Europejczyka — i na ten głos drgnęło coś we mnie... Zdawało mi się, że znam dobrze jego dźwięk... „To niepodobna! — mówiłem sobie — przywidziało mi się chyba!"

Jednakowoż skierowałem się w stronę pomostu.

Łódź, której załogę tworzyli chińscy marynarze, przybiła właśnie. Wtedy wyskoczył z niej wysoki, młody człowiek, o energicznych, zdecydowanych ruchach. Nie pomyliłem się! I mimo, iż było to całkiem nieprawdopodobne, przekonałem się za chwilę, że mój bardzo bliski i bardzo kochany przyjaciel, Wilhelm Harcourt, przybił oto przedemną, do drewnianego pomostu portu, w Swatow!

Nie dostrzegł mnie zrazu. Zbliżyłem się więc szybko i, podczas, gdy zwrócony do pozostałych w łodzi ludzi, mówił coś do nich w kantońskiem narzeczu, stanąłem za nim na baczność, by przypomnieć mu dawne czasy. A on, jakby odczuł moją obecność za sobą, odwrócił się nagle — i znalazłszy się nos w nos ze mną, otworzył szeroko zdumione oczy. Lecz z tą szybkością orjentowania się w sytuacji, którą tak dobrze znałem u niego, ochłonął natychmiast — i widzę, w tej chwili jeszcze radość, z jaką zawołał, kładąc mi rękę na ramieniu:

— Rancé! — A ty tu co robisz?

W odpowiedzi, śmiejąc się, rzuciłem mu to samo pytanie.

— Ja? — rzekł — Ot, żegluję... To całkiem w porządku, że znalazłem się tutaj. — Ale ty, widzę, żyjesz na lądzie — ubrany po cywilnemu... Czyżbyś na dobre zapuścił tutaj kotwicę?

To mówiąc, rzucił spojrzeniem w krąg — objął niem brudne ujście rzeki — i Swatow, pławiące się w błocie. Skrzywił się i dodał:

— To by mnie dziwiło. — Opowiesz mi, co z tobą słychać.

Wydał jeszcze kilka rozkazów swoim ludziom i zwrócił się do mnie:

— Pojutrze wyjeżdżam stąd. Dziś popołudniu ładujemy herbatę na ten Fai-tsi-long, który mnie tutaj przywiózł.

— Cóż ty robisz na tym statku? — Nie wydaje mi się bynajmniej świetny...

— Jestem zastępcą kapitana — odrzekł spokojnie.

Spojrzałem znowu na ów Fai-tsi-long. Harcourt, zastępcą kapitana na tym przedpotopowym samowarze?! Zatkało mnie poprostu!

A on zaczął się śmiać; poczem powiadomił mnie, jaki jest rozkład jego dnia. Dowiedziałem się, że miał mieć do czynienia handlowo, nie z kim innym, tylko z tym idjotą Martigues. — Nie rozstanę się więc z nim wcale, w czasie jego krótkiego pobytu w tej dziurze! — pomyślałem. Obecność bowiem Harcourt'a i myśl o rychłem jego odjeździe, sprawiała, że jeszcze większe obrzydzenie wzbierało we mnie do Swatow. Miałem niekłamaną ochotę podnieść kotwicę i odbić z nim razem od tych brudnych wybrzeży!

Lecz z drugiej strony, zdawałem sobie sprawę, że czas już był zaczepić się na stałe o coś; że ofiarowana mi tutaj posada mogła stać się z czasem bardzo korzystną. Jak pan widzi, ta pasja włóczęgi i poznawania coraz to nowych krajów ugryzła mnie znowu i wszczęła walkę z rozsądkiem.

W drodze do biura naszej ajencji, opowiedziałem Harcourt'owi w kilku słowach, co robiłem od czasu, jak rozstaliśmy się. Potem kolejno on opowiedział mi główne zdarzenia ze swego życia, w ostatnich czasach. Obaj byliśmy niewymownie zadowoleni z naszego spotkania.

* * *

Rancé zamilkł na chwilę, wpatrzony w okrągłe okienko kajuty. Wstrząsnął nagle głową kilkakrotnie, jakby odpędzał jagąś zjawę.

— Widzi pan, trudno mi jest powiedzieć panu, jak bardzo kochałem Harcourta...

— Teraz — jak się to mówi w powieściach — muszę otworzyć nawias. By móc zrozumieć dalszy ciąg tej opowieści jest koniecznem, żeby pan poznał charakter mego przyjaciela i stosunki, jakie nas łączyły.

* * *

Harcourt pochodził z Normandji. Ja również — lecz miałem w żyłach silną domieszkę bretońskiej krwi. Ale on był Normandem czystej wody! Był duży, jasny — twarz miał energiczną — o silnie znaczonych, jakby rzeźbionych, rysach. Prawdziwy Viking ciałem — i duszą także. Piękną miał głowę! Lecz piękność jej nie polegała na regularności rysów; tkwiła raczej w tym wyrazie tężyzny, którą tchnęła — w ogniu, którym błyszczało spojrzenie głęboko osadzonych pod wysokim łukiem brwi oczu, — w tej sile, która z niej biła.

Harcourt nie był moim przyjacielem z lat dziecinnych. Nie pochodziliśmy bynajmniej z tego samego świata. Od czasu, jak przestałem chodzić do szkoły powszechnej, aż do chwili, kiedy mnie wzięli do służby w marynarce wojskowej, byłem rybakiem tak, jak wszyscy z mojej rodziny. Jako młody chłopak odbyłem już Nowo-Funlandję i Islandję — zjechałem na kutrze rybackim wszystkie wybrzeża północne. On zaś kończył gimnazjum w Rouen. — Był najlepszym uczniem w klasie — przepowiadano mu świetną przyszłość.

Ale od dzieciństwa chłopak ten miał — może za duże — zamiłowanie swobody, niezależności... Czy ja wiem...? — Dla mnie taka natura miała zawsze więcej szlachetnej godności w sobie, niż każda inna. Ale w dzisiejszem społeczeństwie, nie łatwo pozostać wolnym i niezależnym i móc rozwijać się swobodnie. Harcourt nie był człowiekiem na nasze czasy. Miał w sobie poprostu nadmiar sił żywotnych i taką tęsknotę za życiem pełnem niebezpieczeństw — nieoczekiwanych przygód i zmian — taką potrzebę i żądzę władzy, tyle odwagi w braniu na swe barki wielkich odpowiedzialności — wielkich zadań i czynów, — że gdyby żył w innych czasach, już jako młodzieniaszek, byłby stał na czele eskadry i byłby zapewne otoczył sławą swe imię...

Lecz w naszych czasach natura taka mogła mu tylko szkodzić w życiu.



I przeskoczył przez ohydną kałużę...

Bujność jego temperamentu rozpętała się w burzę odrazu, kiedy znalazł się w Paryżu, gdzie przygotowywał się do egzaminu wstępnego do Wyższej Szkoły Inżynierji Wojskowej. Stało się to przyczyną przykrych zatargów z rodziną. Wreszcie Harcourt wziął na kieł: pewnego dnia rzucił studja i zaciągnął się do marynarki.

Było to na trzy lata przed wojną. On miał wtedy 19-cie lat — był więc o cztery lata młodszy odemnie. Ja byłem wówczas matem na krążowniku „Republika", kiedy Harcourt zjawił się na nim, jako ochotnik.

Może pan sobie wyobrazić, jak ten chłopak, ze swoją kulturą, odcinał się na tle kolegów! Przypadek zrządził, że ja właśnie byłem jego dowódcą; zaraz poznałem, z kim miałem do czynienia i zdałem sobie sprawę, że byłem przy nim — ot, takim sobie biedakiem. A on — nie wiem doprawdy dlaczego? — polubił mnie odrazu. Odpłacałem mu się tem samem. I Harcourt zaczął mnie kształcić. Widocznie uważał, że byłem dosyć inteligentny. On to nauczył mnie tego wszystkiego, co umiem dziś z matematyki i różnych innych rzeczy, naganiał mnie do czytania, a w rozmowach, otwierał nowe przedemną horyzonty — pokazywał mi światy, których istnienia nie podejrzewałem nawet...

Ten chłopak, młodszy o wiele odemnie — bo w wieku w jakim byliśmy wówczas, różnica czterech lat, to dużo — zrobił ze mnie to, czem dziś jestem!

Przeżyliśmy rok jeden razem na „Republique", a potem prawie że równocześnie przeszliśmy obaj na krążownik „Montcalm" i popłynęliśmy na półtora roku na Daleki Wschód. Z tą tylko różnicą, że w rok po wstąpieniu do marynarki, Harcourt był już matem, tak jak ja, wówczas, w trzecim roku służby, a kiedy wybuchła wojna Harcourt paradował już z oszywką bosban-mata na ramieniu. Z dowódcy, stałem się więc jego podkomendnym. Los już tak zrządził jakoś, że nie rozstawaliśmy się nigdy na długo i było mi danem nabywać pod jego kierunkiem coraz solidniejsze wykształcenie. Oczywiście — mówiąc o solidnem wykształceniu, biorę pod uwagę, że wyszedłem z tak niska...

Harcourt przewyższał mnie zawsze nie tylko pod względem wiedzy i inteligencji, ale także pod względem charakteru. Nie potrafię należycie opisać panu, tej natury pociągającej, zniewalającej i tak bardzo szlachetnej — lecz zarazem dumnej, samowolnej i nieokiełzanej. Wywierał przedziwny wpływ na swoich ludzi — a ja byłem może bardziej jeszcze niż inni podatny na ten wpływ, bo, jak mówiłem już, nie rozstawaliśmy się prawie przez szereg lat.

Harcourt mówił mi nieraz:

— Widzisz Rancé — byłbym chciał żyć w czasach, kiedy byli tacy ludzie jak Surcouf, albo Duguey-Troin*).

I żeby sobie to powetować, nosił się z myślą wstąpienia do Wyższej Szkoły Oficerów Marynarki. Z wykształceniem, jakie posiadał, byłby nadrobił szybko lata stracone. Ale przyszła woja — i jak wielu innym — pokrzyżowała i jemu wszystkie plany.

Biliśmy się najpierw podczas wojny na krążowniku „Bouvet". Zatopiono nas na tej starej, pływającej cytadeli w Dardanelach. Że ocalałem wtedy, zawdzięczam to tylko Harcourtowi. Kiedyindziej opowiem panu, jak to było; dzisiaj wspominam o tem tylko, żeby pan zrozumiał, jakie długi wdzięczności — i to na wszystkich polach — zaciągnąłem względem niego.

*) Sławni korsarze francuscy na przełomie 17-go wieku.

Pozostaliśmy dosyć długo na Wschodzie. Przydzielono nas, znowu razem, na inny statek — z tą różnicą, że Harcourt był już teraz podporucznikiem — oficerem! Przebyliśmy razem walki na Adrjatyku i dwa lata walk na Morzu Śródziemnem. W roku 1916 Harcourt był znowu na turze do awansu na porucznika, ja zaś, dorobiłem się ledwo oszywki bosmanmata. Z radością patrzyłem, w jak szybkie mtempie przyjaciel mój awansuje. W marzeniach widziałem go już admirałem w niezadługiej przyszłości.

Byliśmy zawsze przyjaciółmi a Harcourt starał się w dalszym ciągu rozwijać mnie umysłowo. W roku 1917. poraz pierwszy od 6-ciu lat rozdzielono nas. Harcourt został wysłany na Daleki Wschód; jako dowódca torpedowca, konwojował jakiś transport. Pod koniec wojny znalazłem się i ja na Dalekim Wschodzie; spotkaliśmy się znów w Saigonie. Harcourt miał już wtedy trzy paski porucznika — ja byłem ciągle bosman-matem — ale ta sama przyjaźń łączyła nas zawsze. Kiedy nastał pokój, zwolniono mnie.

— Przy następnem spotkaniu, zobaczę cię pewnie kapitanem korwety — rzekłem mu. Mieliśmy się bowiem znowu rozstać.

Ściskając go na pożegnanie, powiedziałem mu:

— Dowidzenia, admirale!

Zaczął się śmiać i odparł ze swoją zwykłą beztroską:

— Bóg jest wielki!

W pół roku potem — byłem wtedy w Indochinach, on zaś powrócił do Francji — dostałem list od niego, w którym donosił mi, z tą swoją dobrze znaną mi porywczością, ilekroć coś rozdrażniło go — że raz jeszcze puszcza wszystko kantem. Przeprowadzono właśnie rewizję szarż — i zamierzano cofnąć go na podporucznika

„Mam blisko 27 lat — pisał — i już od roku pełnię służbę, jako porucznik. Straciłbym na tem trzy do czterech lat. Nie przyjmuję tego i odchodzę!"

Byłem przybity tem. Harcourt tracił raz jeszcze wszystko, czego się dorobił! Mówiłem sbie, że nie miał racji; że powinien był okazać więcej cierpliwości; że byłby wyrównał z łatwością stratę tych kilku lat. Wszędzie, gdzie się zjawiał, zdobywał przecież wyjątkowe stanowisko, dzięki swoim niezwykłym zdolnościom. Ale mój Boże! — Harcourt — i cierpliwość!

W jakiś czas potem, w drugim liście donosił mi że i on myśli udać się na Daleki Wschód. Potem nie dostałem już żadnego listu od niego i od 8-miu miesięcy nie wiedziałem nic o nim. Aż owego dnia, jak mówiłem panu, Harcourt wylądował przedemną nagle w Swatow, z nędznego parowczyka — Fai-Tsi-Long, nie miał chyba więcej, niż 2.500 tonn — na który miał ładować od nas herbatę — on, którego wyobrażałem sobie, jako najmłodszego wiekiem admirała w marynarce francuskiej! Było mi to nadwyraz przykre. Nie mogłem powstrzymać się, żeby nie powracać ciągle do tego w naszej rozmowie. A Harcourt śmiał się.

— Takie jest życie, mój stary!

— Jakże? — dodał po chwili z odrobiną rozdrażnienia w głosie. — Więc wyobrażasz sobie, że mógłbym zgodzić się na takie zdegradowanie! Ludzie, tacy jak ja, nie znoszą łatwo, kiedy pomniejszają ich wartość. — Wszystko, albo nic! (C. d. n.).

PANIE, O KTÓRYCH MÓWI STOLICA

IRENA TARNAWSKA

Dyrektorowa Irena Tarnawska w stylizowanej na modłę hiszpańską sukni balowej.
Fot. J. Garzyńska — Krynica

Na prawo: Portret dyr. Tarnawskiej, pendzla Jana Rudnickiego.
Fot. A. Janczewska — Warszawa.

Przed niedawnym czasem ruchliwy „Sim" warszawski, zawsze dbały o wysoki poziom artystycznej dekoracji swych wnętrz, przyozdobił ściany portretami pań z warszawskiego towarzystwa. Największem powodzeniem cieszył się portret pędzla cenionego portrecisty Jana Rudnickiego, przedstawiający w naturalnej wielkości prześliczną brunetkę w białej balowej toalecie. Z lekko narzuconego na suknię okrycia ze srebrnych lisów wyłania się nieskazitelna linja ramion. Gładko zaczesane włosy, pełne, ponsowe usta i dwa łuki przepysznych, niemal zrośniętych brwi, które w najmniejszej mierze nie odejmują jednakże jasnego i pogodnego spojrzenia oczom ich właścicielki.

Ta piękna pani z portretu, to dyrektorowa Irena Tarnawska, słusznie zaliczana w poczet najpiękniejszych Warszawianek i stanowiąca z racji swych walorów, tak zewnętrznych, jak i towarzyskich, prawdziwą ozdobę salonów stolicy.

Pani Tarnawska ukazuje się na przyjęciach i zabawach w toaletach, doskonale harmonizujących z jej urodą i nienagannie smukłą linją. Prześlicznie też wyglądała ostatnio na „Wieczorze Stylowym" w Łazienkach Królewskich, w białej, lekkiej jak obłok krynolinie, stylizowanej na strojach z czasów Księstwa Warszawskiego. To też jury konkursowe jednogłośnie zaliczyło dyr. Tarnawską w poczet pań nagrodzonych.

— Ta nagroda — mówi pani Irena z uśmiechem — sprawiła mi ogromną niespodziankę, nie przeczę, niezmiernie miłą, jako, że zdobytą na tak przepięknej i niezapomnianej zabawie, jaką był „Wieczór Stylowy", zorganizowany przez p. ministrową Bobkowską w Pałacyku Łazienkowskim. Wogóle nie pretenduję nigdy do królewskich zaszczytów na salach balowych. Wyjątek zrobiłam jedynie w ubiegłym karnawale w Krynicy na „Balu Mody". Ale w tym wypadku działały siły wyższe, moja duma rodowitej Warszawianki, która nie mogła dopuścić, by berłem mody na terenie krynickim zawładnęło inne miasto, a nie nasza stolica.

— Zapewne i teraz w sezonie letnim zechce pani sięgnąć po zaszczytny tytuł Królowej Mody w któremś z naszych, czy zagranicznych uzdrowisk?

— O, nie — zaprzecza żywo pani Irena. — W lecie żegnam się ze wszystkiemi balami, rautami i przyjęciami! W tym okresie jestem tylko mamusią i niczem więcej. Zabieram moje dwie córeczki i wyjeżdżam na wieś, na zwyczajną, cichą wieś, niezbyt daleko od Warszawy. Uważam, że tak spędzone lato jest najlepszym wypoczynkiem dla ciała i nerwów. A życie towarzyskie, w pewnej mierze i społeczne, choć miłe i urozmaicone, przecież trochę męczy. A tam na wsi czeka mnie bezwzględna swoboda, dużo powietrza, słońca, las, cisza — jednem słowem wakacyjny raj, którego mi nie da żadne głośne uzdrowisko.

Zofja Ordyńska.



M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI KLOCKOWE

III

W 23 i 24 Nrach „Asa“ przeprowadzona została metoda początkowych ściegów klockowych. Przerobiono w niej płócienko i dziurki klockowe. Jak zestawiwszy je ze sobą, możemy uzyskać milutką koroneczkę klockową, złożoną z płóciennych ząbków i tła dziurek. (Wzór A).

Płócienko i dziurki w zastosowaniu do koroneczki z 10-ciu parek.

Do jej wykonania potrzeba 10 parek, które zawieszamy na wzorze, wykonanym wedle schematu Nr 1, zreprodukowanego obok. W punktach a—b—c—d zawieszamy po 2 parki na każdej szpilce. Po prawej stronie, gdzie mamy na wzorze ząbki, umieszczamy pomiędzy punktami c—d jeszcze dwie szpilki, oznaczone na naszym schemacie literami f—g. Na nich umieszczamy po jednej parce. Przez gęściejsze rozmieszczenie szpilek uzyskamy gęściejsze płócienko ząbków koronki.

Przy wykonywaniu tej koroneczki można we wszystkich punktach rysunku, oznaczonych literami, stosować albo ścieg zasadniczy, albo ozdobny. Boki dziurek przekręcamy zawsze po dwa razy. Przy robocie ząbka wbijamy szpilki tylko w punkty na brzegach ząbka, w środku zaś ząbka robimy gładkie płócienko, tam i zpowrotem. Ażeby ząbek był strojniejszy, robimy brzegiem mereżkę przed punktami m—n—o. W tym celu, kończąc klockować rządek płócienka przed temi punktami, kręcimy ostatnie dwie parki po dwa razy. Gdy zastosujemy tutaj ścieg ozdobny, koronka będzie mocniejsza i trwalsza po praniu. Na brzegu więc, po przerobieniu po szpilce, skrajną parkę odkładamy na prawo, na górę, a pozostałą tj. przedostatnią parę kręcimy dwa razy i przerabiamy gładko płócienko w ząbku, posuwając się ciągle na lewo.

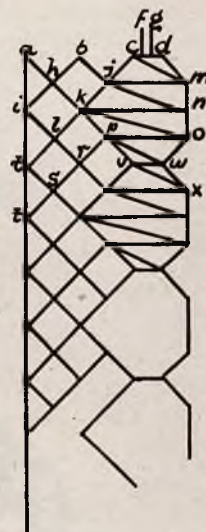
Do wykonania pierwszej połowy ząbka przybieramy parki, odłożone w tym celu po zrobieniu dziurek z lewej strony koronki, z punktów b—h, zaś w drugiej połowie ząbka wyrzucamy znów z roboty ząbka 2 parki z punktów k—p, które będą potrzebne do roboty następnych dziurek.

Przed punktem — w — nie kręcimy przedostatniej parki, bo niema tam miejsca na mereżkę. Parki zaś skrajne, biegnące samym brzegiem z prawej i lewej strony koronki i odkładane zwykle po przerobieniu po szpilce na górę poduszki, kręcimy zawsze dwa razy przed przerobieniem i wbiciem szpilki, bo one tworzą brzegi roboty i jako takie muszą być najmocniej odrobione.

Mając w pamięci te wstępne uwagi, tyczące klockowania koronki (Wzór A), możemy przystąpić do jej wykonywania. W punkcie — a — przerabiamy obie wiszące parki i wpinamy szpilkę w środek przerobienia. To samo powtarzamy w punkcie — b. Następnie należy wziąć z punktu — a — prawą parkę, a z punktu — b — lewą parkę, przekręcić obydwie dwa razy, przerobić, wbić szpilkę w punkt — h— i znów przerobić. Prawą parkę odkładamy, a do lewej dobieramy parkę z punktu — a, tworząc po ich dwukrotnem przekręceniu, a potem przerobieniu, punkt — i.

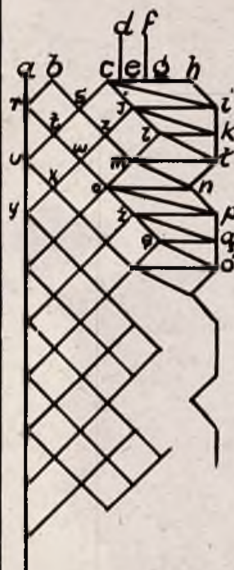
Teraz przechodzimy na prawą stronę roboty, gdzie wykonywać będziemy ząbek, zaczynając od punktu d. Obie parki w tym punkcie przerobić, wpiąć szpilkę, prawą parkę odłożyć, a lewą przerobić z wszystkiemi parkami z punktów g—f—c. Po przerobieniu ostatniej parki, wbić szpilkę w punkt — c, tuż obok poprzednio tu umieszczonej szpilki. Po przerobieniu po szpilce wracamy na prawo, odkładając lewą parkę na górę, a prawą klockujemy jedną parkę za drugą aż do punktu — m. Tutaj robimy mereżkę i wracamy na lewo do punktu — j. Po przerobieniu wreszcie także i parki z punktu





Na prawo: Wzór A. Schemat i fotografja koronki klockowej z 10 parek o ząbkach płócienkowych i tle dziurkowanem.





Powyżej: Wzór B. — Schemat i fotografja koronki klockowej z 10 parek o większej ilości dziurek, niż we wzorze A.



Wzór szerokiej koronki klockowej, tasiemeczkowej, „idrja“.

— b, którą kręci się 2 razy, wbijamy szpilkę w punkt — j. Po przerobieniu po szpilce wracamy na prawo do punktu — n. Przed nim znów robi się mereżkę i wraca na lewo, przerabiając gładko wszystkie parki samym środkiem ząbka.

Przed punktem — k, dobieramy prawą parkę z punktu — h. którą kręci się dwa razy i po przerobieniu tworzy sie punkt —k. Po przerobieniu po szpilce, odkładamy już z tego punktu lewą parkę dla dziurek, a prawą klockujemy rząd płócienka w ząbku, zdążając na prawo do punktu — o, gdzie wykonujemy mereżkę. Wracając, klockujemy na lewo do punktu — p. Przerobiwszy go przed i za szpilką, zostawiamy lewą parkę dla dziurek, a prawa klockuje płócienko do punktu — w. Mereżki tutaj nie robimy, bo miejsca na to niema, a zgęszczone parki między punktami — u — w, dają dość mocny brzeg. Parkę z punktu — o, kręcimy dwa razy przed zrobieniem punktu — w.

Po przerobieniu po szpilce klockujemy na lewo i tworzymy punkt — u. Następnie wracamy na prawo i zaczynamy nowy ząbek tworząc mereżkę i punkt — x. Teraz skończony pierwszy ząbek i początek drugiego. pozostawiamy chwilowo na boku wszystkie parki ząbka, podpinając je dwoma szpilkami. Parka, która spaceruje na lewo i na prawo, przerabiając płócienko, powinna być odpięta osobno, a osobno reszta parek, najlepiej przy pomocy grubszych i większych szpilek.

Wracamy do roboty dziurek. Bierzemy parki z punktów i—k, kręcimy, przerabiamy i tworzymy punkt — l. Następnie parki z punktów i—l tworzą punkt — ł. Parki z punktów l—p dają nową dziurkę, zamkniętą punktem — r. W dalszych przerobieniach stworzymy punkty s—t. Tak tworząc dziurki, zejdziemy skośnie do lewego brzegu koronki. Teraz dalsza robota dziurek ustaje, a rozpoczyna się klockowanie drugiego ząbka, który mamy rozpoczęty zupełnie tak samo jak pierwszy.

W ten sposób powstają dalsze części koronki, którą robimy partjami, raz dziurki, raz ząbki.

Zaczynamy klockować od ząbka, bo jak ze schematu łatwo zaobserwować, z ząbka wyjdą parki, potrzebne do roboty dziurek. Zaczynamy od punktu — h, klockując do punktu c. Tutaj wbijamy szpilkę tuż obok dawnej szpilki i wracamy na prawo do punktu — i.

Brzegiem ząbków robi się mereżkę wzdłuż koronki przed wszystkiemi punktami. A więc ostatnie dwie parki na brzegu ząbka kręcimy dwa razy, a po przerobieniu po szpilce, prawą skrajną parkę odkładamy na górę, a lewą czyli przedostatnią kręcimy dwa razy i przerabiamy nią płócienko w ząbku, dążąc na lewo do punktu — j. Lewą parkę z tego punktu odkładamy już dla dziurek. Następnie przerabiamy 3 rzędy: j—k, k—l, l—ł. Przy punkcie — ł — przestajemy klockować ząbek. W ten punkt należy wbić kolorową szpilkę dla uwidocznienia miejsca, od którego, po zrobieniu dziurek, będziemy dalej klockować ząbek, co nastąpi, gdy wykonamy dziurki do punktów z—w—x—y.

Dziurki zaczynamy klockować z punktów a—b. Kręcimy do tego obydwie parki po 2 razy i przerabiamy punkt — r. Znów od góry przerabiamy parki z punktów b—c, które stworzą zamknięcie dziurki w punkcie — s. Parki z punktów r—s stworzą punkt — t, wreszcie parki z punktów r—t zamkną dziurkę w punkcie — u. W ten sposób zeszliśmy znowu skośnie wdół. Trzeci skośny rząd dziurek zaczynamy klockować znów od góry. Parki z punktów s—j stworzą punkt — z. I tak dalej zejdziemy skośnie aż do punktu — y.

Teraz dziurki znów będą czekać, bo następuje wykonanie dalszej części ząbka, który doszedł do punktu — ł. Od niego zaczynamy klockować rządek na lewo. Gdy się zbliżymy do punktu — m, dobieramy do ząbka parkę prawą z punktu — z. Po przerobieniu punktu — m, klockujemy na prawo do punktu — n, potem na lewo do punktu — o, gdzie dobieramy prawą parkę z punktu — w.

Po przerobieniu punktu — o, zostawiamy lewą parkę dla dziurek i klockujemy dalej na prawo do punktu — p, następnie na lewo do punktu — ż. Tutaj zostawiamy znowu lewą parkę dla dziurek, a robimy dalej ząbek na prawo do punktu — ą, oraz na lewo do punktu ę, gdzie nie dobieramy żadnej parki, bo tu ząbek się zwęża, więc tylko po przerobieniu po szpilce klockujemy do punktu — ó, by tu przerwać robotę ząbka i powrócić, jak poprzednio, na lewą stronę koronki do roboty dziurek.

Przerobiwszy uważnie kilka ząbków podług opisu, łatwo dojść do takiej wprawy, że można koroneczkę robić z pamięci, zachowując tylko logiczny rozwój desenia z prawej i lewej strony.

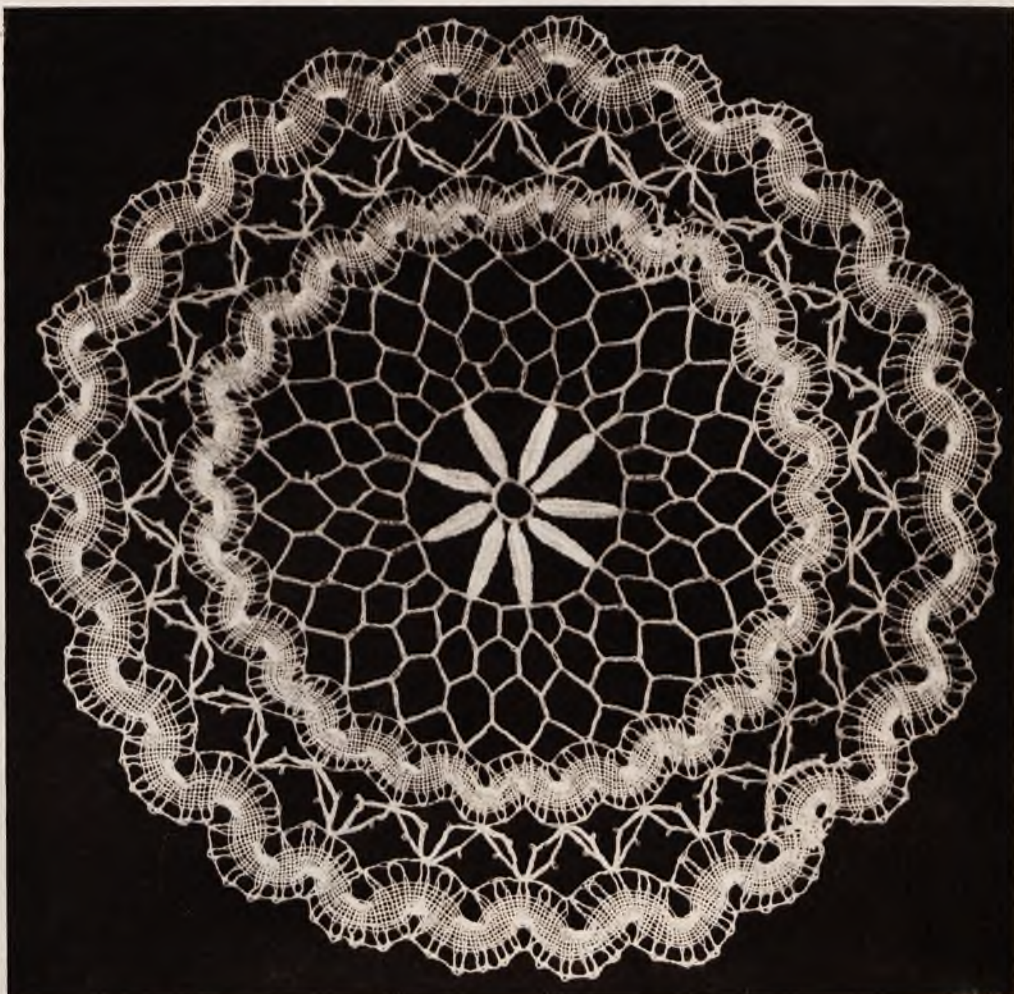


Na lewo: Szeroka koronka klockowa „idrja", wykonana techniką tasiemeczkową

Koronka z 10-ciu parek o większej ilości dziurek.

W podobny sposób, jak opisaną powyżej koronkę, Wzór A, możemy wykonać z 10-ciu parek koronkę nieco szerszą, jeżeli z lewej strony dodamy jeden rząd dziurek. a zwęzimy ząbki.

Należy w tym celu przygotować wzór koronki wedle schematu Wzoru B. W punktach b—h zawieszamy po dwie parki, zaś w punktach a—c—d—e—f—g po jednej parce. Ażeby płócienko było gęściejsze, dodajemy dwie parki w punktach d—f.



Serwetka klockowa z „wężyka" płócienkowego i łatwych motywów gipiurowych.

ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ

Od „chomonta" do koszulki polo

Każdy z nas posiada w domu „ozdobę“ swego mieszkania w postaci portretu tego, czy innego „antenata“ choćby... pierwszego stopnia: rodzinne zdjęcia, na których widzimy babcie i ciocie wszelakich stopni pokrewieństwa, gdzie także i my jesteśmy uwiecznieni. coprawda w tym wieku, gdzie nasza świadomość rzeczy modnych i wygodnych była jeszcze odrobinę... nieskrystalizowana.

Widzimy tam nasze mamusie i babcie w dziwacznych — tak nam się zdaje, a podówczas to był ostatni krzyk mody — kapeluszach, w jakichś „coifturach“ i toaletach, ktore dzisiaj największego śledziennika przyprawiają o atak histerycznego śmiechu.

A cóż dopiero „panowie stworzenia“.

Powyżej: Do gładkich marynarek sportowych nosi się często pampy w kratę, które harmonizują z analogicznym deseniem koszuli...

Przecież to musiała być czarna rozpacz w żółte kropki, zwłaszcza w okresie letnim. Potężny cylinder na głowie — Niemcy mieli na ten „kapelusz“ świetną nazwę: „Angströhre“ (rura grozy) — do tego anglez czarny i ciężki, uzupełniony koszulą o twardym gorsie i kołnierzem wzorowanym na chomontach dla rysaków. Nie wspominamy tutaj o szczegółach intymniejszej garderoby, które kończyły się tasiemkami — słowo „jegery“ jeszcze dzisiaj jest postrachem elegantów.

Takie „coś“ wydaje nam się wprost bestją apokaliptyczną. Jeszcze w mieście... tu możemy znaleść cień zrozumienia, bo nasza moda także nie grzeszy zbytnią wygodą. Obliczenie ilości kilogramów, które mężczyzna w postaci marynarek, kamizelek itd. dźwiga na swojem grzesznem ciele, może stanowić cenny temat do studjów nad bezużytecznem marnowaniem energji ludzkiej.

Ale cóż dopiero w lecie, a zwłaszcza na plaży! Bo przecież i nasi ojcowie jeździli do badów — a jakże, taka Ostenda była miejscem legendarnej i światowej rozpusty — cieszyła się mniejwięcej taką opinją, jak dzisiaj Miami z hurmami ekscentrycznych miljonerek, które sobie i paznokcie u palców od nóg malują we wszystkich kolorach tęczy, noszą półmetrowe rzęsy i od rana do wieczora myślą jedynie o „pognębieniu“ rywalki jakimś nowym „przebojem“.

Ostenda przed wojną, Ostenda — „fin de siecle“, widziała wszystkich wielkich dandysów i elegantów, którzy spacerowali po plaży w pancerzach, nazwanych „jaskółkami“ lub anglezami, kąpali się mniej w słonej wodzie, ile w pocie własnego czoła i ryzykowali dobrą opinję... zamieniając cylinder, lub melon na mniej pretensjonalne słomkowe nakrycie głowy. — Wieczorem — rzecz jasna — frak z przyległościami więził prawdziwego mężczyznę.

Raz jednak zbuntował się pewien gentleman i to... sam książę Walji, który ośmielił się włożyć miękką jedwabną koszulę do fraka. Wyskok ten był głośny a innowacja nie utrzymała się.



W anglezie, żakiecie, kamizelkach zapinanych pod szyję i wysokich sztywnych kołnierzykach... przy 30 stopniach w cieniu! — to rok 1910.

Dzisiaj jesteśmy o kilka kroków dalej. Nosimy miękkie koszule, — w lecie nawet koszulki polo, kamizelkę uważamy w porze letniej za przesąd pradziadków, a sztywny kołnierzyk staje się nawet w zimie przeżytkiem. W letniskach i miejscowościach kąpielowych chodzimy bez marynarek i kobiety jakoś nie mdleją tuzinami na widok — fi donc — rozebranego mężczyzny. W basenach i w morzu kąpiemy się w wygodnych kostjumach kąpielowych, na plaży chodzimy w płaszczach kąpielowych i wszystko jest w porządku.

Brummell.



Na prawo: „Przewiewny“ sportowy strój letni — dawniej noszony tylko przez skautów — dzis chętnie przez wielu gentlemanów.

ŻYCIE artystyczne

SUKCES WIDOWISKA MORSTINA ZAGRANICĄ



Z inicjatywy krakowskiego wojewódzkiego Komitetu Przyjaciół Młodzieży Akademickiej grupa studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyła z widowiskiem L. H. Morstina „Mikołaj Kopernik" tournee po Rumunji, Bułgarji, Jugosławji i Węgrzech. Impreza, pozostająca pod protektoratem senatu akademickiego U. J. była organizacyjnie kierowaną przez dra Jana Regulę, sekretarza U. J. Żywa, niezwykle barwna i na wysokim poziomie artystycznym stojąca sztuka, doskonale odtworzona przez amatorski zespół, spotkała się wszędzie z prawdziwym sukcesem. Na zdjęciu balet Wandy Haburzanki: hołd ziemi składany słońcu.

Fot. Orelly — Budapeszt.

NA KONKURSIE TAŃCA W PARYŻU



W Paryżu zakończył się „Wielki tydzień taneczny", urządzony przez francuski Syndykat profesorów tańca i gimnastyki rytmicznej. Do jury należeli m. in. Irena Popard, Janina Ronsay, Sergjusz Lifar, Spadolini, Malkowski, Duprè i Edward Kuryło, b. baletmistrz Opery Warszawskiej. Z polskich tancerek wzięła w konkursie udział tylko Irena Grodzieńska, która zdobyła drugie miejsce w konkursie tańca teatralnego, odtwarzając walca i mazurka Chopina.

Fot. Van Dyck — Warszawa.

WIZYTA U JOAN CRAWFORD

Poniżej: Córka prezydenta Stanów Zjednoczonych, mrs. Anna Roosevelt-Boettiger, bawiła ostatnio w Kalifornji i złożyła wizytę Joan Crawford, która jest jej ulubioną gwiazdą filmową.

Fot. New York Times — Londyn.



STEFA POTEMPSKA



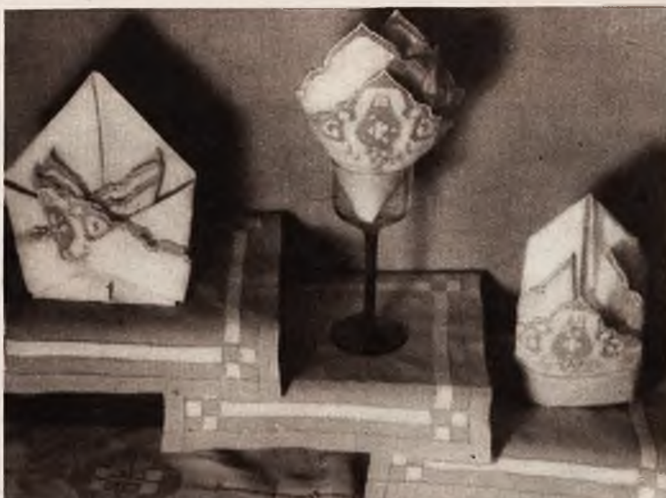
Ciesząca się zasłużonem uznaniem szkoła tańca I. Prusickiej w Warszawie urządziła ostatnio popis swych uczennic, wśród których korzystnie wyróżnia się młoda, świetnie zapowiadająca się tancerka Stefa Potempska. Cała impreza stała na artystycznym poziomie, wykazując naocznie, ile utalentowanych uczennic posiada szkoła i czego po nich w krótkim czasie można się spodziewać. Na zdjęciu: Stefa Potempska w tańcu „Zwodniczy głos".

Fot. Szawińska — Warszawa.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

JAK UKŁADAĆ SERWETKI PRZY NAKRYCIU STOŁU



Ładnie ułożone serwetki nadają specjalny charakter zastawionym do większych przyjęć stołom. Rzadziej stosuje się tak wymyślne systemy do użytku codziennego, — choć chwila mozołu opłaci się pięknym wyglądem zastawy stołowej.

ZUPA Z ZIELONEGO GROSZKU. 25 dkg groszku wyłuskać, łupki wraz z dwoma marchewkami i pęczkiem kopru nastawić zimną wodą do gotowania, zaś groszek udusić z troszką masła. Jasną zasmażkę z łyżki masła i mąki rozprowadzić makiem, wygotowanym z łupinek i jarzyn, dodać uduszony groszek i marchewki pokrajane w drobny makaronik oraz szczyptę soli i cukru, zasypać drobnemi płatkami i zagotować. Przy wydawaniu dodać siekanej zielonej pietruszki i koperku.

ZUPA „NIC". Utrzeć do białości 3 żółtka z trzema łyżkami cukru, następnie zalewać gorącem mlekiem wygotowanem z laseczką wanilji (mleka ma być 1 litr) i ubijać na ogniu aż zgęstnieje. Obstudzone stawia się na lód i podaje z słodkiemi grzankami lub piankami t. zw. „nicami", które się sporządza w następujący sposób: 3 białka ubić na pianę, następnie wstawić kociołek wraz z pianą w naczynie z gorącą wodą i dosypując po trosze 6 dkg cukru pudru ubijać dalej spiralką aż wszystek cukier wyjdzie, a piana stanie się lśniąca i gęsta. Na blachę wyłożoną papierem lub natartą woskiem, kładzie się łyżeczką małe bułki z ubitej piany i wsuwa blachę do letniego pieca, aby podrosły i uschły. Zrumienić się nie powinny. Dla zapachu można dodać wanilji lub skórki startej z cytryny. Pianki takie zamknięte szczelnie w szklanem naczyniu, przechowują się dobrze w zupełnie suchem miejscu.

MOŻDŻEK Z KALAFJOREM (kuchnia dla ozdrowieńców). Sparzony i oczyszczony z błon móżdżek cielęcy gotować na miernym ogniu bez soli, około 20 minut. W międzyczasie sporządzamy jasną zasmażkę z 2-ch dkg masła i łyżki mąki i zalewamy ją 1/8 zimnego mleka, stale mieszając, aby się nie tworzyły kluski, których chorzy nie znoszą. Uzyskawszy w ten sposób zupełnie gładki beszamel, łączymy go z pokrajanym móżdżkiem oraz małym osobno ugotowanym kalafjorem na pojedyncze różyczki rozebranym. Wodą z pod kalafjora nadajemy potrawie potrzebną gęstość. Chcąc potrawie nadać wyższy stopień pożywności, możemy ją podprawić żółtkiem, rozkłóconem w troszce mleka. Jako dodatek grysik na gęsto, ryż lub grzanki z bułki.

KNEDELKI CZEREŚNIOWE Z PARZONEGO CIASTA. Pół l. mleka z łyżką masła zagotować w rondelku i zasypać 30 do 35 dkg sypkiej mąki, następnie ubijać płaską łyżką na ogniu tak długo, aż ciasto będzie zupełnie gładkie i odstanie od dna rondelka. Do wystudzonego ciasta wbija się 2 jaja jedno po drugiem, soli troszkę i miesza dokładnie, poczem wykłada się je na podsypaną mąkę, dzieli na małe kawałki, które się rozpłaszcza i zawija w nie po 2—3 czereśni, tworząc podłużne knedelki. Ugotowane na słonej wodzie, podaje się je zaraz po wyjęciu z wody, posypane smażoną bułeczką wymieszaną z cukrem i cynamonem i polewa rumianem masłem. W Czechach, krainie knedli, podaje się je polane suto masłem i posypane tartym piernikiem lub serem.

LEGOMINA Z CZEREŚNI. Ubić w garnuszku 1/4 l. mleka z 4 żółtkami, 4 łyżkami cukru, łyżeczką soku cytrynowego i otartą skórką z połówki cytryny oraz 4-ma gorzkiemi migdałami miałko utłuczonemi. Wkońcu dodać 4 łyżki tartej bułki i 25—30 dkg wydrelowanych z pestek czereśni oraz domieszać lekko tęgą pianę z 4 białek. Ciasto wlewa się do natartego masłem rondelka i piecze w piecyku lub gotuje w formie budyniowej na parze. Gorącą legominę posypuje się suto cukrem z wanilją lub cynamonem.

PRZETWORY Z AGRESTU, TRUSKAWEK ITP. (dla czyt. NN z Nasielska i J. G. z Częstochowy). Podajemy pewien przepis, który zastosować można do sporządzania galaret z każdego owocu osobno lub też zmieszanych razem na tzw. tutti-frutti. Zapamiętać należy, że części galaretowate posiadają jedynie owoce niezupełnie dojrzałe lub z natury kwaśne. Nie uzyskamy zupełnie gęstej galarety z truskawek, jeśli nie zmięszamy ich z porzeczkami lub zielonym agrestem. Owoc wymyty nalewa się wodą, biorąc jej tylko tyle, aby owoc był ledwie przykryty. Rozgotowane na papkę owoce, wylewa się na czyste płótno, rozpięte między czterema nóżkami odwróconego stołka. Sok ścieka przez noc na podstawioną miskę. Nazajutrz mierzy się ten sok. Na każdy litr soku bierze się 75 dkg cukru i gotuje, szumując tak długo, aż kropla spuszczona na talerz zastyga, nie rozpływając się. Gorący płyn zlewa się do niedużych słoików, a gdy zastygnie, przykrywa się płatkiem bibułki, umaczanym w rumie i zawiązuje pergaminem. Galaretka agrestowa, gotowana z wywarem róży cukrowej, jest bardzo ładna i dobra. Na 2 l. agrestu bierze się szklankę oczyszczonej róży, zaparzonej litrem wody. Proporcja cukru i dalsze postępowanie jak wyżej.

Sc. Ko.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

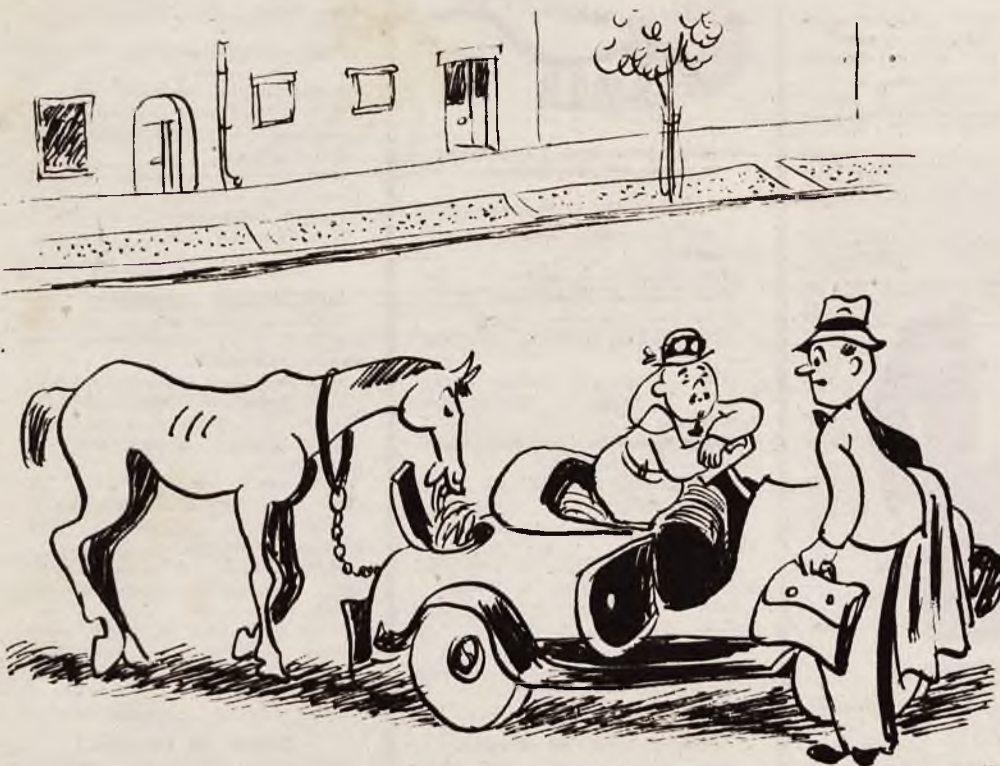
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 26 — Czerwiec — Dni 30
Niedziela 21 Alojzego	Zupa agrestowa na żółtkach z piankami. Krokietki z raków. Pieczona gąska z mizerją i młodemi ziemniaczkami. Krem z poziomek z bitą śmietaną. Kolacja: Kurczęta smażone zimne z sałatą.
Poniedziałek 22 Paulina b.	Zupa z zielonego groszku z płatkami. Kalarepka z wody z rumianą bułeczką i masłem. Pieczeń cielęca z sałatą głowiastą w śmietanie. Kompot z czereśni i agrestu. Kolacja: Kasza hreczana z kwaśnem mlekiem.
Wtorek 23 Wandy, Zenona	Rosół z młodemi jarzynkami. Sztuka mięsa w sosie vinaigrette. Kotlety cielęce z marchewką i groszkiem. Legomina czereśniowa. Kolacja: Pierożki z borówkami /jagodami/ z śmietaną.
Środa 24 Jana Chrzc.	Chłodnik z buraczków i ogórka z jajami. Opiekanki z ryżu w sosie pomidorowym. Pieczona kaczka z sałatą mieszaną. Krem agrestowy z biszkoptem. Kolacja: Bukiet jarzynowy.
Czwartek 25 Prospera b.	Zupa owocowa na śmietanie. Kalafior z masłem. Zrazy zwijane z grzybami z kaszką krakowską. Kruchy placek z pianką poziomkową. Kolacja: Raki, chleb, sery, rzodkiewka.
Piątek 26 Jana i Pawła	Zupa "nic" z piankami. Makaron wypiekany z parmezanem. Pstrągi na niebiesko z masłem i ziemniaczkami. Racuszki drożdżowe z konfiturami. Kolacja: Jaja sadzone na grzankach z serem.
Sobota 27 Władysława kr.	Zupa z podróbek z perłówką. Kotleciki jarzynowe w białym sosie. Kurczęta lub gołąbki nadziewane z sałatą i marchewką. Kompot mieszany. Kolacja: Parzone knedelki z czereśniami.

AS Kupon konkursu na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki

HOCKI-KLOCKI

NA WSZELKI WYPADEK!



— Co to pan bierze ze sobą konia?
— A tak, mamy po drodze górkę!...

NOBLESSE OBLIGE



Przewodnik: — Skały, na których stoimy, pochodzą z epoki trzeciorzędnej.
Turysta: — Proszę nas zaprowadzić do pierwszorzędnej, pieniądze tu nie grają żadnej roli...

Rozwiązania z N-ru 24-go.

CUDOWNY DOM.

Postawienie domu o takich właściwościach jest możliwe na biegunie północnym.

URODZINY KAZIA.

Na urodzinach Kazia zebrało się dwadzieścioro dzieci.

WIZYTA.

Oto 42 możliwe sposoby ustawienia baryłek:

12345	12346	12347	12348	12349	12356
678910	578910	568910	567910	567810	478910
12357	12358	12359	12367	12368	12369
468910	467910	467810	458910	457910	457810
12378	12379	12456	12457	12458	12459
456910	456810	378910	368910	367910	367810
12467	12468	12469	12478	12479	12567
358910	357910	357810	356910	356810	348910
12568	12569	12578	12579	13456	13457
347910	347810	346910	346810	278910	268910
13458	13459	13467	13468	13469	13478
267910	267810	258910	257910	257810	256910
13479	13567	13568	13569	13578	13579
256810	248910	247910	247810	246910	246810

ODWAŻNIKI.

Trzy odważniki muszą ważyć 9 kg., 3 kg. i 1 kg.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

ZDUMIEWAJĄCE POKREWIEŃSTWO.

A. — Więc mówisz, że pan Stanisław jest twoim wujem?

B. — Tak, a ja ze swej strony jestem jego wujem.

A. — W takim razie jesteście obaj swymi siostrzeńcami? To bardzo dziwne!

W jaki sposób mogło się wytworzyć tak dziwne pokrewieństwo bez przekroczenia przepisów prawnych?

NUMER DOMU.

Pewien pan mieszkał przy bardzo długiej ulicy, numerowanej po jego stronie 1, 2, 3 i t. d. Suma numerów od początku ulicy do domu, w którym mieszkał ów pan, wyłącznie, równała się sumie numerów od tego domu (również wyłącznie) do końca ulicy. Domów było po tej stronie ulicy więcej, niż pięćdziesiąt, lecz mniej niż pięćset. Pod którym numerem mieszkał ów pan?

NA SZOSIE.

Pan A startuje na swym pięknym Fiacie z jednego miasta do drugiego, pan B. zaś równocześnie z drugiego miasta do pierwszego na Fordzie. Odległość między miastami wynosi 100 km. Pan A przybywa do miasta swego przeznaczenia po 80 minutach, a pan B. po trzech godzinach od chwili rozminięcia się. Z jakiemi szybkościami jechali obaj panowie?

PUDŁO CZEKOLADEK.

Urodziny Janka wypadają w pierwszych dniach grudnia. Ostatnim razem jako jeden z prezentów dostał od dziadka ogromne pudło czekoladek. W niezwykłym porywie altruizmu Janek postanowił tego dnia zjeść tylko jedną czekoladkę i rozdać jedną dziesiątą pozostałych; następnego dnia zjadł dwie czekoladki i rozdał jedną dziesiątą pozostałych; następnego dnia zjadł trzy i rozdał znów jedną dziesiątą reszty i tak dalej, codzień zjadał o jedną czekoladkę więcej, rozdając jedną dziesiątą część pozostałych. Miał zamiar coprawda dochować czekoladki do gwiazdki, lecz niestety nie pozwolił mu na to obrany system, który wypróżnił pudło na dobre przed świętami. Ile czekoladek zawierało początkowo pudełko?

KORZYSTNA OKAZJA.

Panu dyrektorowi udało się okazyjnie kupić 32 flaszki wódki, w czem było 16 flaszek starki i 16 wiśniówki, ale gdy przyjaciel jego dowiedział się o wyjątkowo niskiej cenie, zaczął błagać o odstąpienie mu części zakupu. Ponieważ panu dyrektorowi zależało na pozostawieniu sobie wiśniówki, więc ustawił wszystkie flaszki w jednorzędowe koło i zaproponował przyjacielowi, że licząc wkoło, będzie mu dawać co dziesiątą flaszkę — nie mówiąc oczywiście nic, że ustawił je tak, aby przy podziale przypadły mu wszystkie butelki wiśniówki. W jakim porządku dyrektor ustawił flaszki z wódką?

ODLEGŁOŚCI.

W połowie drogi między Nowem miastem a Starem miastem, sześćdziesiąt cztery kilometry od każdego z nich, stoi radjostacja. Radjoamator, którego aparacik ma ograniczony zakres odbioru, chciałby obliczyć swą odległość od stacji. Ile wynosi ona, jeśli ów radjoamator mieszka o 104 kilometry od Nowego miasta i osiemdziesiąt osiem od Starego miasta?

PAŃSTWO PTASZKOWIE I JABŁKA.

Na stole leżą rzędami jabłka z tą samą ilością jabłek w każdym rzędzie. — Pan Ptaszek bierze ze stołu dziesięć razy tyle jabłek, ile jest rzędów, a następnie pani Ptaszkowa bierze dziesięć razy tyle jabłek, ile było początkowo w każdym rzędzie. Ostatecznie pozostało jedno jabłko. Ile jabłek leżało początkowo na stole?

HUMOR ZAGRANICZNY

ZAGUBIONY REFERAT POKOJOWY



Liga Narodów: — Gdzież u djabła mogłam zapodzieć raport o rozbrojeniu Europy?
(„Rire").

NA SCENIE.



Kazimiera Skalska.

Warszawa zyskała ostatnio nowy teatr operetkowy. Jest nim otwarta w dniu 9 b. m. „Wielka operetka", która znalazła pomieszczenie w górnej partji teatru przy ul. Karowej, gdzie dawniej mieściła się „Wielka rewja". Stała tego rodzaju impreza, o wysokim poziomie artystycznym, której brak wybitnie dawał się we znaki stolicy, powstała teraz dzięki inicjatywie i pracy organizacyjnej dyr. Janiny Korolewicz-Waydowej. Już samo to nazwisko, złączone z kierującem stanowiskiem w nowym teatrze, daje gwarancję, że zarówno repertuar jak i jego wykonanie stać będą na najwyższym poziomie.



Feliks Szczepański.

W skład zespołu artystycznego weszli dawni ulubieńcy imprez operetkowych ze sceny Teatru Wielkiego: L. Szczepańska, Z. Fedyczkowska, K. Skalska, W. Orzechowska-Szczepańska, I. Wędrychowska, J. Dębska, A. Raczkowski, J. Korolkiewicz, S. Zniez, F. Szczepański i in. Bardzo liczny balet posiada w swem gronie takie gwiazdy, jak Kaczmarewiczówna, Sławska, Nowicka, Michalska i in. Reżyserja spoczywa w rękach Witolda Zdzitowieckiego, a orkiestrą i chórami kierują St. Nawrot i Wł. Ormicki. Dekoracje Wandy Jewniewiczowej.

el.



Olga Sławska.



Adam Raczkowski.

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Wśród wydawnictw, poświęconych specjalnie młodzieży, wyróżnia się korzystnie serja popularnych szkiców z zakresu wiedzy technicznej f-my „Pallas" w Krakowie, która ostatnio wydała tomik, zatytułowany **„ABC zdobywa świat"**. Jest to bardzo przejrzyście napisany rys historyczny drukowanego słowa, w którym autor, znany skądinąd literat, ukrywający się pod pseudonimem **Jana Lasa**, potrafił stosunkowo suchy temat rozwinąć w barwną fabułę i nadać jej cechy naprawdę wartościowej pracy, źródłowo doskonale postawionej i dlatego cennej dla każdego młodocianego czytelnika. Inne szkice tegoż autora, jak „Dziwne przygody węgla", „O smoku żelaznym", „Ludziom rosną skrzydła" wykazywały te same walory i dlatego zdobyły sobie zasłużoną popularność. Z tej samej dziedziny **praca Marzenny Sarjusz-Stokowskiej: „Coraz prędzej"** (wyd. Arcta — Warszawa) zdumiewa fachowem pomieszczeniem bardzo rozległego tematu na 80-ciu zaledwie stronicach, przyczem zwraca w książce tej uwagę umiejętny dobór ilustracyj, które, jeśli o młodzież chodzi, są w takich wydawnictwach zawsze cennem uzupełnieniem pouczającej treści.

el.



według programu nadesłanego przez Polskie Radjo.

Niedziela, 21 czerwca.

9.00: Transmisja nabożeństwa Włocławka.
11.16: Muzyka z płyt.
12.03: Poranek muzyczny.
14.30: Audycja dla wsi.
15.30: Rewja polskich revellersów.
16.30: „Abdykacja króla kurkowego" — trans. z Rynku krakowskiego.
17.05: „Sianokos na Kujawach" migawka regjonalna.
17.25: Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera.
18.00: „Koncert" — słuchowisko.
18.30: Wielki koncert rozrywk. orkiestry i solistów z Wilna.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali
21.30: „Ziemia Krakowska w tańcu i śpiewie".
22.00: Transmisja fragm. meczu piłkarskiego Kraków-Belgrad (z Krakowa).

Poniedziałek, 22 czerwca.

12.03: „W rozśpiewanej Italji".
15.45: „Tam, gdzie powstają R. W. D." — reportaż dla dzieci starszych.
16.00: Koncert popularny z Ciechocinka.
17.30: Arje i pieśni w wykonaniu Walentyny Walewskiej.
17.50: „Rogacz w tarapatach", pogadanka.
19.30: „Tańce różnych narodów" — recital fortepian. Juljusza Wolfsohna.
20.00: „W Zalesiu ks. Michała Ogińskiego" — audycja muz.
21.00: Duety i piosenki w wyk. Janiny Godlewskiej i Andrzeja Boguckiego.
21.30: Koncert w wyk. Kwartetu Smyczkowego.

Wtorek, 23 czerwca.

12.03: Koncert południowy.
16.45: „Skarby Polski" — „Muzea polskie" — odczyt.
17.00: Koncert w wyk. Tadeusza Seredyńskiego.
19.00: Arje i pieśni w wykon. Michała Zabejdy-Sumickiego.
19.25: Witold Friemann: Sonata na fortepian i altówkę.
19.50: „Wianki" — fragm. z III aktu pt. „Kwiat paproci".
20.00: „Pieśni ludowe o wiośnie i miłości" — audycja muzyczna.
20.30: „Mój dziennikarski jubileusz" — szkic literac. Kornela Makuszyńskiego.
21.00: Koncert wieczorny w wykonaniu Ork. Symf. P. R.
22.15: Muzyka taneczna z Ciechocinka

Środa, 24 czerwca.

12.03: Muzyka lekka z basenu w Ciechocinku.
15.45: „Djabeł w butelce" — bajka mórz, słuchow. dla dzieci.
16.15: „Śpiewające raz — dwatrzy" — Ola Obarska.
17.00: Utwory muzyki włoskiej.
17.30: Recital śpiewaczy Jadwigi Radwanówny.
17.50: „Anegdoty z życia Edisona".
19.00: Konc. kameralny w wykon. Warsz. Kwartetu Smyczkowego.
19.25: „Hiszpańskie pieśni ludowe" — ze Lwowa.
20.00: Muzyka lekka z płyt.
20.30: „Wędrówka mikrofonu po prowincji" — „Lud kresów północno-wschodn.".
21.00: II aud. z cyklu „Utwory Fryderyka Chopina w wykon. słynnych pianistów".
22.30: Muzyka lekka i taneczna.

Czwartek, 25 czerwca.

12.03: Klasycy wiedeńscy.
15.45: „O nasionach — wędrowniczkach" — opowiadanie dla dzieci młodszych.
16.00: Koncert popularny.
17.30: Zygmunt Noskowski — „Powrót" — suita w 8 częściach.
17.50: „Słońce a zdrowie" — pogadanka.
19.00: Teatr Wyobraźni u obcych: słuchowisko „Corleone".
19.30: Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego.
20.00: Koncert w wyk. Orkiestry Kameralnej pod dyr. Alberta Katza.
21.00: VIII aud. z cyklu „Stanisław Moniuszko — pieśniarz".
21.30: „Maik — Gaik" — audycja muzyczna.
22.15: Muzyka taneczna.

Piątek, 26 czerwca.

12.03: Koncert w wyk. Zespołu Salon. Pawła Rynasa.
16.00: Miniatury skrzypcowe.
16.25: Piosenki w wyk. Kwartetu Andy Kitschmann.
16.45: „Skarby Polski" — „Kultura polska" — odczyt.
17.00: „Szwedzkie melodje" — w wyk. Orkiestry Kameralnej.
19.00: Ernest Dohnanyi: Kwintet fortepianowy c-moll op. 1.
19.30: Ludowe pieśni hiszpańskie.
19.45: „Piosenka Fortunia" — operetka w 1 akcie Jakóba Offenbacha.
21.00: Koncert z udział. Maryli Jonasówny.
22.15: Pieśni o kwiatach odśpiewa Wanda Roessler-Stokowska.
22.40: Muzyka salonowa i taneczna.

Sobota, 27 czerwca.

12.03: Muzyka lekka.
14.30: Koncert w wyk. orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.05: Koncert solistów.
16.50: „Błyskawiczna podróż na ORP. „Burza" — odczyt.
17.05: Nowości z płyt.
17.50: „Kresowe miasteczko" — pogadanka.
18.50: Reportaż z portu Maryn. Woj. na Oksywiu
19.05: Koncert Kwartetu salon. Rozgłośni krakowskiej.
20.55: „Święto Morza" — przemówienie kontradmirała Jerzego Świrskiego.
21.00: „Mozajka muzyczna".
21.30: „Pustelnik XX w." — żart radjowy Jerzego Ostrowskiego.
22.15: Muzyka taneczna z Ciechocinka.
23.00: Chór Juranda śpiewa piosenki.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca.

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.